Nr. 295. Lwów. — Sobota dnia 21 grudnia Rok 1889

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie - zł. 75 ct.	Miesięcznie 1·10 zł
Kwartalnie 2 „ 25 „	Dwumiesię 2·10 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Kwartalnie 3·— „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie 12·— „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Innej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU“ we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują
Trafika J. Ważnego, ulica Czarnieckiego 2.
„ przy ulicy Karola Ludwika liczba 5.
„ „ „ Jagiellońskiej liczba 4.
„ „ „ Słowackiego (obok łazienek Djany
Biuro Dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 9

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Tomasza męcz. Jutro: F. 4. Adw. Zen. | Adres Redakcji i Administracji: **ulica Sykstuska l. 45.** | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca g. 7 m. 56 Zachód „ „ 4 „ 2 | Długość dnia 8 g. 6 m. Ubyło dnia 0 min.

Zaproszenie do przedpłaty

Celem zapobieżenia niedokładnościom, jakie z konieczności rzeczy powstają wtedy, gdy wszyscy abonenci odnawiają jednocześnie swą prenumeratę, upraszamy o przysyłanie jej wcześniej. o ile można przed 1 stycznia.

Prenumerata na PRZEGLĄD wynosić będzie w roku przyszłym tyle co dotąd:

(z przesyłką pocztową)

Rocznie	*12 zł.*
Półrocznie	*6 „*
Kwartalnie	*3 „*

Jednakże z tego względu, że miesięczna prenumerata nastręcza najwięcej roboty, bo gdy roczną zapisuje się tylko raz do ksiąg i ma się z nią spokój przez cały rok, półroczną dwa razy, a kwartalną tylko cztery razy do roku, to z miesięczną ma się do czynienia dwanaście razy do roku i dwanaście razy trzeba ją przez wszystkie księgi przeprowadzać, przeto słuszną jest rzeczą domagać się osobnego wynagrodzenia za tę osobną, nadmierną pracę.

Z tego tedy powodu ustanawiamy odtąd, że miesięczna prenumerata na PRZEGLĄD będzie cokolwiek wyższą od rocznej, półrocznej i kwartalnej, mianowicie wynosić będzie (z przesyłką pocztową)

miesięcznie	***1 zł. 10 ct.***
dwumiesięcznie	***2 zł 10 ct.***

Prenumeratorowie nasi miesięczni, oceniając sami sprawiedliwość i słuszność naszego żądania, zechcą albo nadsyłać odtąd swój abonament w ratach kwartalnych, a w takim razie nie będą wcale drożej niż dotąd płacili za PRZEGLĄD, albo też, jeżeli zamierzają i nadal prenumerować PRZEGLĄD w ratach miesięcznych, dopłacać zechcą owe 10 ct. za nadliczbową pracę, jaką Administracji naszej nastręcza ten rodzaj prenumeraty.

Prenumerata miejscowa (we Lwowie) nie ulega żadnej zmianie i wynosi jak dotąd miesięcznie 75 ct.

Przegląd polityczny.

Lwów 20 grudnia.

Niektóre dzienniki wiedeńskie donoszą, że rząd wyraził życzenie, ażeby Czesi rozpoczęli na nowo rokowania ugodowe z Niemcami, zerwane nagle w ciągu lata. Podobno uczyniono już nawet wstępne kroki i starano się wybadać niemieckich polityków i mężów zaufania, czy są skłonni podjąć zerwane rokowania ugodowe. Ci oświadczyli podobno swą skłonność ku temu, jednakże na warunkach podanych Czechom w lecie, a temi są: 1) utworzenie niemieckiego senatu przy praskim sądzie apelacyjnym; 2) rozdział krajowej rady szkolnej i krajowej rady kulturnej na czeską i niemiecką; 3) ażeby w sejmie czeskim w sprawach narodowościowych głosowano wedle kuryj narodowych; 4) utworzenie odrębnego oddziału niemieckiego przy praskim namiestnictwie i 5) podział Czech wedle narodowych dystryktów.

Rokowania toczą się na razie całkiem poufnie, a prowadzone mają być dalej nawet podczas feryj parlamentarnych.

Na gubernje Nadbałtyckie nałożono już teraz całe to jarzmo, które dźwigają ziemie polskie od lat dwudziestu kilku. W zeszły czwartek opublikowano ukaz, który jest ostatnim ciosem, wymierzonym nietylko w niemieckość, ale także w żywioły łotyski i estoński. Na ten fakt zwracamy szczególną uwagę, bo jest on znakomitą ilustracją zawsze tej samej lisiej taktyki, której trzyma się rząd rosyjski, ilekroć chce którykolwiek kraj zabrany ujarzmić duchem i zniszczyć, aby potem na tak powstałem pustkowiu zasiać swoje ziarno.

Rdzenną ludnością trzech Nadbałtyckich gubernij: Kurlandji, Liwlandji i Estlandji są plemiona pochodzenia fińsko-litewskiego. W odległej starożytności tu się stykały dwa plemiona: Finnowie, którzy szeroko się rozsiedli na północny dzisiejszej Rosji, — i Litwini. Z krzyżowania się tych plemion powstali mieszańcy, tworzący „lud“ Nadbałtyckich gubernij. Potem przyszli z Niemiec Mieczowi Rycerze, jak na Kujawy i Mazowsze przyszli Krzyżacy. Utworzyli oni stan szlachecki, pociągnęli za sobą kupców i rzemieślników, a ci zaludnili miasta, dając początek stanowi mieszczańskiemu. Zwolna zakwitła wszędzie kultura niemiecka, starzy bogowie uciekli i niepodzielnie rozsiadł się protestantyzm, miejscowe dyalekta cichły coraz bardziej, ustępując przed niemieckim językiem, który w końcu stał się wspólną własnością wszystkich mieszkańców owych trzech gubernij. Tylko jeszcze po wsiach umieli włościanie po liwońsku albo estońsku, jak po wallońsku umie ą w Belgji, po celtycku w Irlandji lub w Baskji hiszpańskiej.

Tak było do chwili, w której rząd petersburski postanowił zrosjanizować Nadbałtyckie gubernje i wziął się do tego podług starej, wypróbowanej przez siebie metody. Najpierw obudził Łotyszów i Estów, szepnął im, że są przecie dziedzicami swej ziemi, a „baronowie“, i mieszczaństwo, i pastorowie, i cała inteligencja, to przybysze, to ujarzmiciele, to wrogowie. Precz więc z ich językiem, obyczajem, religją! Z razu tych podszeptów usłuchały bardzo nieliczne jednostki, ale tego dość było. Zaczęły się pojawiać ludowe pisemka łotyskie i estońskie, pisane zapomnianym językiem. Niemcy, rozumiejąc do czego to prowadzi, jęli tłumić ów ruch w zarodku, ale rząd wystąpił w obronie odgrzebywanej narodowości, protegował ją na każdym kroku, zasilał pisma ludowe, zakładał szkółki z owym archaicznym wykładowym językiem, słowem: był gorliwym protektorem, przyjacielem od serca Liwów i Estów. Między nimi a Niemcami zaczęła się głucha walka, powstało rozdwojenie społeczne, szpara zwolna rozszerzyła się w jar, — jar przekształcił się w przepaść. Petersburski rząd zacierał ręce.

Któż zgani owo z popiołów odrodzanie się dawnej narodowości? My z pewnością nic. Jeśli dumni jesteśmy z odrodzenia się Szlązka, jeśli z upragnieniem marzymy o tem, że kiedyś ockną się Słowianie nadłabscy, toć nie możemy ganić Estów i Liwów. Ale za złe im mamy, że wciąż słuchając lisich podszeptów, zaczęli w zapale walki z Niemcami, przez coraz większą nienawiść do nich, porzucać protestantyzm dla prawosławia. Sądzili, że tylko przyjemność robią przyjacielowi i tem go jeszcze bardziej dla siebie zdobędą, a tymczasem on inaczej rozumował. Kiedy już przepaść była gotowa, kiedy w wioskach zamiast kirch stanęły cerkwie, a w nich zabrzmiał cerkiewny, starosłowiański język, wówczas rząd powiedział: to lud rosyjski, nasz odwieczny!

Spostrzegli się Liwowie i Estowie, że w pułapkę wpadli, ale już było za późno. Wykształceni między nimi — cała ta nowa inteligencja chciała się otrząsnąć, zawrócić, lecz rząd zaraz ich zdusił. „Baronowie“ i mieszczaństwo bez „ludu“, lud bez baronów i mieszczaństwa jednakowo byli bezsilni w obec tego trzeciego, który między nimi stanął, a ów trzeci teraz już szybko podążył do swego celu. W ciągu kilku lat znikły szkoły ludowe niemieckie, estońskie. liwońskie, wszędzie stanęły rosyjskie. Potem jedno za drugiem poszły znane rozporządzenia, równające administrację miejscową, poręczoną przez Katarzynę II i Pawła, z administracją w gubernjach czysto rosyjskich. Wreszcie jako ostatnie zamknięcie rusyfikacyjnego dzieła pojawił się czwartkowy ukaz.

Głosi on, że odtąd na całym obszarze Nadbałtyckich gubernij istnieć powinien wyłącznie język rosyjski; inne zgoła nie są uwzględniane; więc z właściwą odmianą pojawią się tam w urzędach tablice, które na każdym kroku można widzieć w ziemiach naszych: „Tu zakazuje się mówić po polsku.“ Dalej ukaz postanawia, że wszyscy t. zw. „literaci“, to jest wszyscy ci. którzy z tytułu wykształcenia naukowego mają pewne przywileje, tracą prawo wyborcze do rad gminnych, powiatowych i miejskich. Znosi się instytucja sędziów pokoju z wyborów, natomiast tych sędziów będzie mianował minister sprawiedliwości z urzędników swoich. Znoszą się sądy przysięgłych, wchodzi urządzenie istniejące w ziemiach polskich. Na wszystkie sądowe urzęda mają być powołani urzędnicy z głębi Rosji, a to dla tego, że miejscowi juryści nie znają rosyjskiego kodeksu, który odtąd będzie obowiązywał zamiast lokalnych statutów.

Łatwo pojąć z jakiem uczuciem przyjęto ten ukaz zarówno w baronowskich, jak w mieszczańskich i ludowych sferach. *Vae victis!* Pokonani pochylili głowy pod jarzmo — nie odezwał się ani jeden protest, ani jeden zarzut. Bo i po co? Może po to, żeby setki i tysiące poznały Sybir? Nie czas na protesta. Lecz nadzieja, która tylko z ostatniem tchnieniem gaśnie w człowieku, mówi. że „przyjdzie czas.“

Nowym towarzyszom niedoli — bratni ukłon!

Zambeziańskiego bigosu rząd angielski nie myśli jeść gorącym. Wiemy, że lord Salisbury usunął się ze stolicy, aby być jak najdalej od głównego warsztatu ulicznej opinji, natomiast polecił jednemu ze swych gabinetowych kolegów wylać na rozgorączkowane głowy publiczności kubeł zimnej wody. Więc pod Londynem, w Windsorze, wystąpił na zgromadzeniu jeneralny prokurator skarbu, mr. Clarke. zalecając prasie „cierpliwość, umiarkowanie i panowanie nad własnemi uczuciami“, ganiąc zaś ostre wyrazy, które tu i ówdzie padły o Portugalji. „To nie przystoi wielkiemu państwu — rzekł minister — tak się odzywać o małem; to nie godne, niehonorowe i to utrudnia akcją dyplomatyczną. Lord Salisbury potrafi ustrzedz od szwanku nasze interesa i spór załatwić pokojowo; spodziewam się, że długo nie będziemy na to czekali! Więc cierpliwości, panowie, i umiarkowania!“ — Z tego wynika, żeśmy trafnie przewidywali niemożliwość jakiejkolwiek wojennej awantury o Zambezi“.

„Jerseyski więzień“, czyli po prostu Boulanger znów raczył „do Francji“ przemówić, lecz choć długo milczał, język jego wcale się nie zmienił. W manifeście, zatytułowanym „Do Francji“, a wydanym z powodu unieważnienia przez parlament mandatu, który Boulanger otrzymał w Montmartre, mówi eks-jenerał, że „święte prawo powszechnego głosowania, święta wola narodu“ została znieważona przez taką owaką izbę, która się przeważnie składa z indywiduów bezczelnych, nikczemnych, rabusiowskich... dalej idzie długi jeszcze szereg coraz silniejszych epitetów. Potem wypowiada eks-jenerał przekonanie, że „przyjdzie dzień zemsty“. W tym dniu Francja może nań liczyć, jak on liczy na nią.

Zapewne, „dzień zemsty“ kiedyś przyjdzie, ale wówczas Francja chyba nie będzie pamiętała o Boulangerze. On już swoje wyśpiewał.

Rada państwa.

Wiedeń 18 grudnia.

Zwykłe moje sprawozdanie z posiedzeń Izby posłów, przedstawiające w streszczeniu przebieg rozprawy nad każdym punktem porządku dziennego, muszę tym razem zastąpić jeszcze zwięźlejszem streszczeniem obrad z dwóch przedostatnich posiedzeń, z poniedziałku i wtorku.

Pierwsze z nich rozpoczęte o godz. $^1/_4$12, a ukończone o 2 godz. 45 z południa zapełniła prawie w zupełności dalsza rozprawa ogólna i szczegółowa nad regulaminem dla marynarki handlowej, z którego uchwalono na tem posiedzeniu pierwszych siedem paragrafów.

Przyjęto dalej ustawę o prowizorjum budżetowem w trzeciem czytaniu i po odczytaniu interpelacji pos. Kyrlego i tow., oraz pos. Zallingera i tow. zamknięto posiedzenie.

Treść interpelacji pos. Zallingera, którą to wywołał pogrzeb poety Anzengrubera, znaną już jest czytelnikom *Przeglądu* z telegramów, zaś interpelacja pos. Karlego była właściwie wnioskiem skierowanym do p. ministra handlu, aby koleje przewoziły bez opłaty te osoby, które przez władze wojskowe do ćwiczeń są wezwane, a więc powoływanych do służby rekrutów, rezerwistów i landwerzystów.

Punktem ciężkości następnego, wtorkowego posiedzenia była odpowiedź hr. Taaffego na interpelację lewicy w sprawie czeskiej. Odpowiedź p. ministra podały depesze telegraficzne prawie dosłownie. Cała Izba wysłuchała ją w największem naprężeniu, skupiwszy się obok fotelów ministerjalnych. a kiedy hr. Taaffe przestał czytać. gwar w Izbie tak był wielkim i zdradzał takie zajęcie się posłów tą odpowiedzią, iż trzeba było kilkakrotnego dzwonienia prezydenta, aby pp. posłów przywołać do porządku.

Wreszcie ucichło w Izbie i powstał przewódzca lewicy, dr. Plener, żądając otwarcia rozprawy nad odpowiedzią p. ministra. Wniosek ten, jak wiecie, upadł, bo głosowało za nim tylko 114 posłów, a to: lewica, antisemici, demokraci, młodoczesi, klub Coroniniego, klub trentyński i Lienbacher, przeciw 143 głosom prawicy i w tej samej chwili tak opróżniły się ławy poselskie, iż prawie przed próżnemi ławami począł sprawozdawca hr. Nadherny odczytywać dalsze paragrafy regulaminu dla marynarki handlowej. To też bez rozpraw, z chyżością kilkunastu paragrafów na minutę przyjęto paragrafy 7 do 111 tej ustawy, a dopiero przy paragrafach 112 do 125, traktujących o postanowieniach karnych, przemawiał sprawozdawca mniejszości komisyjnej dr. Weeber, a następnie przerwano rozprawę.

Po odczytaniu interpelacji pos. Burgstallera o czasowem uwolnieniu od opłaty podatku zarobkowego i dochodowego od statków nowych w kraju zbudowanych i pos. Świeżego w sprawie germanizacji szkół ludowych na Szląsku zamknął przewodniczący posiedzenie o godz. 3 m. 10 z południa.

Dzisiejsze posiedzenie z 18 b. m. zagaił przewodniczący dr. Smolka o godz. 10 z rana.

Na ławach ministerjalnych: hr. Taaffe, Dunajewski, Prażak, Gautsch, Bacquehem, Schönborn.

Przed przejściem do porządku dziennego dał p. minister oświaty znaną wam z telegramów odpowiedź o kursie farmaceutycznym, a następnie przystąpiono do dyskusji nad przedłożeniem rządowem o udzieleniu zapomóg dla zagrożonej nędzą ludności Galicji, Bukowiny, Szląska, Tyrolu i Karyntji.

Sprawozdawca p. Gniewosz uznał w swojem przemówieniu konieczną potrzebę udzielenia tych zapomóg i formalną prawidłowość w wyasygnowaniu ich przed uchwaleniem tego wydatku przez Radę państwa. W imieniu komisji budżetowej wniósł przeto sprawozdawca, aby rzeczone zapomogi wstawiono jako kredyta dodatkowe w budżet państwowy na r. b.

W zagajonej następnie rozprawie pp. Zallinger i Leronzoni przypominali sprawę regulacji rzek w Tyrolu, a p. dr. Menger zaznaczył, iż w obec wielkości klęsk, które w r. b. dotknęły ludność rolniczą Szląska i sąsiednich krajów koronnych udzielone zapomogi są zbyt niewystarczającemi. W dalszym ciągu swojej mowy wytykał p. Menger niewłaściwe postępowanie władz skarbowych przy oszacowaniu szkód elementarnych i wzywał rząd, aby przedłożył projekt do zmiany dotyczącej ustawy.

Następni mówcy: Steinwender i Polak przemawiali o nędzy w Czechach panującej, pos. Kowalski żądał łagodniejszego egzekwowania podatków w r. b., a pos. Hompesch wykazał, że od czasu przedłożenia rządowi sprawozdań zwiększyła się o wiele nędza w Galicji, bo gniją tam w kopcach kartofle, a brak paszy tak jest wielkim, iż tysiące koni wybito i za cenę skóry sprzedano.

Po tych przemówieniach przyjęto ustawę o zapomogach, jak niemniej ustawę, mocą której uwolniono od opłat stemplowych wszelkie dokumenty pożyczki 300.000 zł., zaciągnąć się mającej przez fundusz krajowy Galicji na zapomogi dla dotkniętych nieurodzajem.

Następnie przystąpiono do dalszej dyskusji nad regulaminem dla marynarki handlowej, i po mowie ministra hr. Schönborna przeciw wnioskom mniejszości komisyjnej, przerwano o g. 12 min. 45 w południe posiedzenie, z powodu pogrzebu kardynała Ganglbauera.

Na wieczornem posiedzeniu ukończono rozprawę nad regulaminem dla marynarki handlowej i przyjęto całą ustawę wedle wniosków komisji. a dalej bez rozpraw uchwalono nowelę do ustawy o kasach gwareckich, której sprawozdawcą był pos. Nenner w zastępstwie chorego pos. Bilińskiego.

O godz. 9 min. 15 zamknięto posiedzenie. Następne jutro dnia 19 b. m.

Na posiedzeniu Izby panów z 19 bm. przyjęto do wiadomości doniesienie prezydenta ministerstwa, że Cesarz przyzwolił arcyksięciu Janowi na dobrowolne zrzeczenie się praw księcia domu cesarskiego i stopnia wojskowego. oraz że pozwolił mu przyjąć nazwisko: Jan Orth. W skutek tego arcyksiążę Jan stracił od wczoraj prawo zasiadania w Izbie panów austrjackiej Rady państwa, jak stracił już na kilka dni przedtem prawo należenia do węgierskiej Izby magnatów.

Z Izby sądowej.

Wadowice 19 grudnia.

Przewodniczący wypłacił dziś kilku poszkodowanym pieniądze złożone przez nich w ajencji Herzowskiej, a zabrane przez sędziego śledczego w chwili zamknięcia ajencji.

Tomasz Dudek, kowal z Wesoły, wybrał się do Ameryki w r. 1887 i przybył do Oświęcima z kwotą 200 zł. Jechał on w towarzystwie jeszcze kilku wychodźców i w wagonie jeszcze przyczepił się do nich jakiś ajent i zaprowadził do kancelarji Herza, ozdobionej orłem cesarskim. W kancelarji wskazał im żyd jakiś na orła cesarskiego i powiedział: „Widzicie, my na to jesteśmy ustanowieni, aby biednym ludziom dopomagać“. Chciał on kupić kartę na Bremę, lecz w ajencji zmuszono go do kupienia karty na Hamburg i wszyscy musieli złożyć po 16 zł. zadatku na kartę. W Mysłowicach zawrócono ich, poszli więc do Herza i żądali zwrotu pieniędzy. Tych nie chciano im oddać, lecz obiecywano przemycić ich przez granicę. Dudek nie chciał na to przystać, lecz domagał się koniecznie zwrotu pieniędzy. Wówczas jakiś urzędnik finansowy w kancelarji Herza zażądał od niego pokazania papierów legitymacyjnych i groził mu, że jak do Ameryki nie pojedzie i karty u Herza sobie nie kupi, to im się pieniądze odbierze i do domu szupasem odeśle. Wówczas przyparty do muru zdecydował się Dudek na kupienie karty. Wtedy ten urzędnik wystawił mu jakieś pismo i puszczono go przez granicę. Owych 16 zł. zadatku, które złożył pierwszym razem nie otrzymał już więcej Dudek. Dudek zeznaje wyraźnie, że gdyby nie postępowanie owego urzędnika finansowego i przymus, jaki na nim w kancelarji Herza wywarto, to byłby wcale nie jechał do Ameryki, lecz wróciłby się był do domu.

Herz. Jak my tak źle sobie postępowali, to czemu wychodźcy się nie skarżyli?

Przew. Przed kim? Gdzież byliby znaleźli sprawiedliwość?

Filip Pikul z Radgoszczy powiatu dąbrowskiego jeździł dwa razy do Ameryki. Pierwszym razem dał w Oświęcimie 20 zł. zadatku na kartę i tego w Hamburgu mu nie uznano. Powrócił po 15 miesiącach do domu i przywiózł 500 zł. Drugi raz przeszedł znów przez Oświęcim i tak mówi: „Te same subjekty zabrali mnie prosto z wagonu do kancelarji. Ja nie chciałem tam karty kupić i zacząłem się kłócić z żydami, za to mnie żandarmi aresztowali i siedziałem 14 dni w areszcie“.

14)

MARTA.

NOWELA
JULJANA ŁĘTOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Milczenie zaległo izdebkę i trwało długo chwilę. Kobieta, znając jego miłość, szanowała teraz ból. Ale nie mogli tak przecie siedzieć wieków.

— Ciężko na tym świecie, panie Janie! — rzekła wreszcie.

Zwrócił się ku niej od okna.

— Pij pani!

— Piję...

Znowu milczeli oboje czas jakiś, poczem on się nagle odezwał:

— Mów pani co?!... Opowiadaj pani!... Powiedz pani wszystko!...

Mówił to głosem żebraków, a przecież te wyrazy „pani“ huczały w jego ustach, jak uderzenia dzwonu.

Kobiecie wódka dodała animuszu.

— E! co tu opowiadać, mój panie Janie, co?! — odpowiedziała śmielej. — Nic panu już po niej.. Nie zła była dziewczyna, ale zmarnowała się... przez biedę... i przez złych ludzi... Niech to sobie pan Jan z głowy wybije i już!...

Zamyślił się. Otóż to!... I już!... Łatwo radzić... Nie!... On chce wiedzieć wszystko... wszystko... Wysłucha tego, choćby mu przyszło ręce sobie pokąsać... właśnie wysłucha...

Nalał znowu dwa kieliszki wódki.

— No, mów pani! — powtórzył głucho.

Kobieta oparła się łokciami na stole.

— Bo to, widzi pan Jan, było tak! — zaczęła. — Do tej Rózi z przeciwka, z którą się Stasia przyjaźniła, przyplątał się jakiś elegant, dawny jej znajomy... O!... ale kiedy pan Jan już zgrzyta zębami...

— Nie, nie zgrzytam... Pij pani!

— Piję!... Ano, przyplątał się, mówię... Ale ze wszystkiego można było miarkować, że jemu nie Rózia była w głowie, a owszem Stacha... Bał się jednak do dziewczyny przystąpić i zaczepić ją tak obcesowo... Więc tedy Różka...

Flis porwał się z krzesła i pięścią w stół uderzył. Kieliszki potoczyły się z brzękiem ku flaszce.

— Nie! — wrzasnął pełnym głosem. — Tego słuchać nie można, bo-by się człowiek wściekł!

Rozbudzone hałasem dziecko poczęło kwilić w kołysce, więc matka pobiegła ku niemu, mrucząc po drodze:

— A widzi pan Jan!... A mówiłam!... Lepiej to sobie wybić z głowy!... Ona już dziś nie dla pana!...

Porwał za czapkę, ściskając ją, jak w żelaznych kleszczach.

— Dobranoc pani!

Wybiegając, huknął drzwiami tak, iż cały dom się zatrząsł, a z sufitu posypały się blaszki tynku.

— Ot! rozbudził mi bębna i tyle! — gderała kobieta.

A nachylając się nad kołyską, poczęła nucić:

— La, la!... la, la, la!...

Kołysz-że się, kołysz,
Kolebko lipowa —
Niech mi cię, dziecino,
Pan Jezus uchowa!...

— A cicho! A ciś!... Czego się drzesz? czego? — przerywała śpiew sobie.

. . . .

On tymczasem obiegał znów miasto, szalejąc...

Kiedy wrócił na przystań i jak? — tego nie wiedział nikt, nawet dyżurny wartownik, choć ten ostatni nie chciał się przyznać do drzemki i wskazywał na domysł godzinę drugą.

Znaleziono rankiem na pokładzie dwa wielkie wory glinki ogniotrwałej, wyniesione z wnętrza „trzeciego numeru“, a tam na ich miejscu, w najciaśniejszym zakątku, leżał sternik, rozciągnięty na nagich deskach, w swoim odświętnym stroju. Leżąc plackiem, taki długi, wielki, miał głowę wetkniętą w sam kąt kadłuba berlinki, pod poprzeczną belkę. Zaciekało tam już, wilgoć była i chłód dotkliwy, a ciemno, choć oczy wykol. Nawet gdy się tu weszło ze światłem, jeszcze ów kąt pozostawał w cieniu, gdyż w tem miejscu wystawała ściana od kajuty głównej. Dopiero, postawiwszy latarkę na podłodze, można było jako tako zaułek ten oświecić.

Leżał prawie bez ruchu. Ten i ów przychodził zaciekawiony, przemawiał, zapytywał, ale nie otrzymawszy odpowiedzi żadnej, prócz niewyraźnego pomruku, odchodził z niczem. Nawet stary Szymon nie wydobył z pod belki ani słowa.

Wyładowywanie zaczęto bez niego, ale przed samem południem zjawił się przy robocie, zanim Schultz, ciągle bardzo zajęty, zdołał zauważyć jego nieobecność. Pracował pilnie przez całe dwa dni, ale ciągle wzdychał, stękał i jęczał; ludzi unikał, a na wszelkie pytania nie odpowiadał zgoła, jakby nie słyszał wcale.

— Musiała mu się żółć ulać! — mówili holownicy, na co zgodził się i Szymon.

. . . .

Nareszcie gdy trzeciego dnia miano ruszać dalej, stanął przed „starym“ z czapką w ręku.

— Ja pod Każmirz nie idę... Ja tu zostaję! — mówił.

Napróżno „majster“ oburzał się. napróżno groził, napróżno perswadował.

— Oszel ty jeden! — powiedział mu nawet, karcąc go w ten sposób „familjarnie,“ jakby własnego syna. — Oszel! tobie nigdzie nie będzie lepiej... Ja się na tobie poznal, że ty dobry robotnik... Ja ciebie będę później puszczać ze wszystkiemi berlinkami... Oszel! ty będziesz żalowal... ty zostań!

Odpowiadał na to, że powrotu się nie zarzeka i że do nikogo innego się nie zgodzi, ale teraz jechać nie może. Nie chciał nawet zrobić obrachunku za czas przebyty, mówiąc, że ma teraz dość pieniędzy, a jak wróci, to sobie odbierze razem. Przekonywał, że choć do Kazimierza jest kawał spory, ale ładunku nie dźwigano już przez pół nawet tyle. co przedtem, a ludzi było dość, mogło się więc bez niego obejść. Obiecywał wreszcie wyczekiwać tu na ich przyjazd z Kazimierza i może już powrotną drogę do Gdańska odbyć z nimi.

Nie było rady. więc stary musiał się zgodzić, a przyrzekł czekać na niego i nie przyjmować nikogo.

Przed ruszeniem złotowłosa dziewczyna wybiegła aż na brzeg, na oczy całej załogi, gdzie stał on, opuściwszy już swój „numer.“ Nie obawiała się już teraz wzroku ojca, bo sam przecie usankcjonował niejako tę znajomość, puszczając ich razem na miasto. Zresztą było jej już wszystko jedno...

— Pan zostaje? — spytała, blednąc.

Widziała, że pożółkł okrutnie, pomizerniał a oczy, wielkie ciemne oczy, w głąb mu zapadły

— Muszę! — rzekł krótko.

— Ale pan wróci do nas?

— Pewnie — odparł, czując, że ogarnia go żal za statkiem. do którego przywykł. a który właśnie miał odbijać pod Sterem Szymona i ze starszym jego wnukiem u masztu.

— Jeżli pan nie wróci — mówiła dalej — a usłyszy o mnie coś strasznego, jak o tej biednej Emilce w książce, którą mi pan darował, to nie ja będę winna... nie ja!...

Zapamiętał wszystko, wyraz po wyrazie, dokładnie, ale nic nie rozumiał... Darował?... Przecież on jej tylko pożyczał tych książek?... Marek odnosił... Emilka?... Nie mógł sobie przypomnieć, co to ta Emilka zrobiła?... Aha! zaraz! zaraz!... Nie, nie mógł...

— Hala-hu! — wrzaśnięto na statku.

Zwrócił się tam cały, zainteresowany więcej tem, czy Szymon równo odbije, niż dziewczyną, która przed nim stała, blednąc i rumieniąc się na przemian.

— Do widzenia! — szepnęła, a stojąc odwrócona od berlinek, uchwyciła jego zwieszoną rękę i zanim się spostrzegł, przycisnęła do kołaczącej piersi, poczem zniknęła szybko na pomoście, który zaraz zdjęto po jej przejściu.

Szymon dobrze odbił. Sternik-kolega z brzegu musiał to przyznać. Tylko nie przyznawał sam stary Szultz, który na odbicie Szymona spoglądał już także od dłuższej chwili z przejęciem.

(C. d. n.)

Trzeci raz odprowadzałem mego pasierba do Ameryki. U żydów w kancelarji wyglądało tym razem już całkiem inaczej. Był tam orzeł cesarski, portret Najj. Pana a za stołami siedziało pełno urzędników. Krzyczeli oni na mnie, gdym powiedział, że za wiele żądają za kartę i mówili: „My tu na to jesteśmy aby ludziom dobrze robić — a jeżeli nie kupicie karty to pójdziecie szupasem do domu. My tu mamy starostę i sąd i krótki porządek z wami zrobimy". — Musiał więc pasierb mój kupić kartę a w Hamburgu za jedną noc musiał zapłacić 7 zł."

Józef Łapa z Żabna jechał do Ameryki w kwietniu roku 1888. W Oświęcimie był ostrożny, bo słyszał już, że tam żydzi bardzo ludzi oszukują. Gdy wyszedł z wagonu zabrano go do małej stancyjki gdzie 3 ajentów siedziało. Prócz Łapy było tam więcej wychodźców. Rozpoczęto indagację. Ajenci ci zrewidowali Łapę, znaleźli zaszyte u niego pieniądze i wypruli je i odebrali. wszystkiego miał 90 zł. 60 ct. — i te mu wzięli a zostawili mu tylko 2 centy. Pod grozą aresztowania i odszupasowania zmuszono go do kupna karty i wysłano przez Wiedeń do Hamburga — pouczając go, że już przez całą drogę aż do Ameryki nic pieniędzy nie będzie potrzebował i wszystko za darmo dostanie. W Wiedniu już musiał Łapa sprzedać swój surdut zimowy, aby zapłacić sobie nocleg. W dalszej drodze musiał Łapa także sprzedawać po kawałku swe odzienie aby głód zaspokoić, bo żydzi z ostatniego centa go obrali.

Tobiasz Schwarz, zegarmistrz ze Złoczowa, opowiada, przez jakie to smutne koleje musieli wychodźcy przechodzić w Hamburgu zanim do Ameryki się dostali. Trzymano ich zamkniętych w sali, a wpuszczano tylko do piwnicy, i obdzierano na każdym kroku.

Franciszek Trendota, z pow. dąbrowskiego, wybrał się do Ameryki wraz z żoną i dziećmi. Na koszta podróży sprzedał cały swój grunt. W Oświęcimie kupił karty dla siebie, żony i dzieci i przyrzekano mu święcie, że nic więcej już nigdzie płacić nie będzie. W Hamburgu tymczasem powiedziano mu, że te karty są na nic i musiał dopłacić po 25 zł. od osoby. O jednym reńskim w kieszeni ruszyła cała rodzina do Ameryki i tam cierpiała niewypowiedzianie. W końcu wróciła w największej nędzy do kraju. W Ameryce nikt im nie pomógł, śmiano się tylko z nich i mówiono: „po cóżeście się dali żydom oszukać".

Następnie odczytał przewodniczący zeznania Ignacego Skrzymiarza z dąbrowskiego powiatu, który zeznał, że po Dąbrowie i wsiach okolicznych uwijali się żydzi i cuda prawili o Ameryce, jak tam jest dobrze, jaki to majątek można tam zrobić itd.

Jakób Kempler, z Kempanowa, zeznaje, że córka jego w maju r. 1888 wybrała się do Ameryki, mając wolną kartę jazdy aż do Ameryki. W Oświęcimiu powiedziano jej, że ta karta nie ma żadnej ważności i musi do niej przynajmniej dopłacić. Miała ona wszystkiego 40 zł. — zabrano jej z tego 25 zł. i w nędzy największej dostała się do Ameryki.

Józef Sojantek, chłop słowacki, wybrał się do Ameryki w liczniejszem gronie wychodźców. Na przedostatniej stacji przed Oświęcimem wpuścił konduktor do wagonu jakiegoś żydowskiego ajenta. Ten chciał ich w Oświęcimiu zaprowadzić przemocą do ajencji, lecz oni słyszeli już przedtem, że tam strasznie oszukują i nie chcieli tam iść, to też ścigali ich naganiacze i przez 1½ godziny trzymali w polu otoczonych ze wszech stron. Potem przyszedł jakiś jegomość i powiedział im: „Musicie kupić w kancelarji karty — ja tu jestem wójt na całe miasto." Tych, którzy nie chcieli kupić kart aresztowano, odebrano im pieniądze i trzymano w areszcie.

Przewodn. Popatrzcie no się na tych co tam siedzą (wskazuje na oskarżonych). Jest tam może ten, co mówił, że jest wójtem na całe miasto?

Sojantek (wskazuje odrazu na Löwenberga). O, jest — ten sam.

Paweł Musiliszka, młody chłopak słowacki, potwierdza w zupełności zeznania Sojanteka.

Marjanna Sojka z Lunowic jechała do Ameryki z Żurowską, jej córką i siostrą. W Oświęcimie zagnano je do kancelarji jakiejś i tam musiały obie, ona i Żurowska zapłacić za karty okrętowe 170 zł., a osobno za kolej po 11 zł. W Hamburgu musiały zapłacić na nocleg i dwie łyżki blaszane po 8 zł. Dano im tam pić rum taki obrzydliwy, że go wylać musiały. W Ameryce nie mogły znaleść żadnego zarobku i z wielką biedą mogły po 80 ct. dziennie zarobić, to też w wielkiej biedzie wróciły do kraju i dziś każdemu odradzają, aby nie jechał do Ameryki.

Agata Żurowska, towarzyszka Sojkowej w podróży jej do Ameryki, potwierdza w zupełności jej zeznania.

Na tem zakończono dzisiejszą rozprawę.

Mały Fejleton.

Epos o wachlarzu.

Myślałem zawsze, że najniebezpieczniejsza z broni niewieścich jest sobie zwyczajnym parwenjuszem, bez świetnej przeszłości i zaszczytnych koligacyj, a tymczasem...

Tymczasem dowcipny Jerzy Buss, jeden z tych Niemców, co lubią szperać w historji, jak w starem muzeum, przekonał mnie, że wachlarz, to prawdziwy — karmazyn.

Bah! jest on tak dawny i wsławiony jak wiecznym jest wdzięk kobiecy — wedle słów poety.

Taka np. Ah-hołp, królowa egipska, zmarła w r. 1708 przed Nar. Chr.! Toć wachlarz głównie ją wsławił; wzięła go bowiem ze sobą do grobu. W jakim celu — nie wiadomo. Przypuszczano, że zamierzała skokietować nim na śmierć jednego z nieśmiertelnych bogów, ale to nie jest dotąd ustalone.

Dosyć, że wachlarz ów znaleziono później i złożono w Muzeum Bulak, ażeby dać archeologom temat do rozprawy w rodzaju: „O przyczynach, dla których zabrała swój wachlarz do mogiły królowa Ah-hołp."

A piękne Greczynki? Jak one umiały ranić wachlarzami!

Na terrakotowych cackach w Tanagra, tych arcydziełach drobnej plastyki helleńskiej, widzimy klasyczne wdziękinie, trzymające w rękach wachlarze z gracją, zdolną zbudzić zazdrość w damach XIX wieku.

I pobożne chrześcijanki nie wyrzekały się tego pięknego oręża. W katedrze w Monza pokazują wachlarz, ofiarowany kościołowi w roku 600 n. szej ery przez królowę Longobardów, Teodolindę.

A więc wachlarz posłużył — *ad majorem Dei gloriam*. O większym zaszczycie marzyć trudno.

Władczynie Wschodu lubowały się także w wachlarzach, które układano z liścia lub kit. Wyrabiano je zaś z piór pawich lub strusich, przymocowanych do rączki z kości słoniowej. Wrażenie robiły majestatyczne.

Natomiast pieszczotliwym wdziękiem odznaczają się wachlarze chińskie i japońskie. Są lekkie i proste, jak sam powab. Trochę drzewa, laku i nieco papieru, na nim wymalowana gałązka liści i kwiatów, nieco pozłoty na tle samem, ot i wszystko. Ale ciemnookim Azjatkom więcej nie potrzeba. Kochają one i nienawidzą, śmieją się i płaczą — wachlarzem.

Kto widział śliczną Yum-Yum z „Mikado", a widzieli prawie wszyscy, ten ma przybliżone pojęcie o wdzięku Japonek. Był czas, że malarze europejscy malowali same Yum-Yum. No, a japońscy — bez wachlarza nie rozumieją obrazu. W dziewięciu wypadkach na dziesięć bohaterka trzyma w ręku wachlarz, który jej dodaje szczególnej jakiejś powiewności i życia.

Wachlarz rozwijany przeszedłszy do nas z Azji, zaaklimatyzował się w całej Europie nie prędzej, jak w końcu XVI stulecia. Przedtem patrycjuszki i damy naszego zachodu posługiwały się wachlarzami z piór, nieruchomemi. Panie z czasów odrodzenia nosiły też wachlarze w kształcie... chorągiewki, sztywno oprawnej w czworokątną ramkę, której jeden bok łączył się z rękojeścią.

Na pozór nieszczególny to efekt. Jednak płomienni poeci cytrynowo-pomarańczowych krajów opiewają wdzięk, z jakim panie ówczesne posługiwały się owemi flagami.

W wieku XVII wachlarze z piór strusich, pysznie wyglądając obok wielkich renesansowych kryz i ciężkich złotogłowiów znikają, a w XVIII widać już tylko wachlarze zwijane.

Ale oto nadszedł okres pudru, plasterków i galanterji, lekkomyślności i żądzy użycia, a z nim i panowanie dam rococo'wych. One zawładnęły dworami francuskim i saskim i na nich szerzyły podboje, w których wachlarz był, rzecz prosta, bronią nader ważną.

To też wówczas staje się on jednym z ulubieńców poważnej nawet sztuki. Tacy, jak Watteau, Boucher i Lancret, nie wzdragają się pokrywać go malowidłami. Ocalały z owej doby istne klejnoty dobrego smaku.

Domyśleć się łatwo, że odtwarzano głównie sceny pasterskie. Lekko a powiewnie odziane pasterki gruchały z eleganckimi pasterzami na tle arkadyjskiej natury. I bogowie kochali się, a Wenus kokietowała uroczo, zamiast Zeusa, Marsa, całkiem, jak dziś, niestety!

Dla podniesienia efektu kolorystycznego obszywano zlekka całość błyszczącemi nićmi lub szychem. A osadę z bajecznym przepychem wykładano perłową masą, szyldkretem, kością słoniową, które znowu rzeźbiono nad wyraz misternie. Na obu zewnętrznych sztabkach dolnej części wachlarza pstrzyły się efekta złotnicze i jubilerskie, barwne główki amorków, złoto i srebro, emalja i drogie kamienie. A przy tem wszystkiem dbano o lekkość.

Za czasów pani Pompadour rozwinęła się mowa wachlarzowa dowcipna i symboliczna. Odpowiednim ruchem dama zapraszała na *rendez-vous*, wyznawała swą miłość, zalecała ostrożność lub składała pocałunek à *distance*.

A dziś? Europejscy Rafaele długi czas wstydzili się malować na wachlarzach. Dziś zaś potrosze wracają do dawnego chwalebnego zwyczaju.

Dumą naszych dni jest wachlarz z białej lub czarnej koronki *point gaze* lub *point duchesse*, z osadą perłową pochodzenia madagaskarskiego. Sztabki są kunsztownie rzeźbione à *jour* przez najcelniejszych robotników jakich posiada tylko stolica świata — Paryż.

Wonne to i delikatne, a co najważniejsza, to, że zdradziecka koronka czyni jeszcze piękniejszą karnację i kształty damy, która się takim wachlarzem zakrywa.

Podobno mistrzyniami we władaniu tą bronią są Hiszpanki; bo też chyba żadne tak bardzo nie potrzebują ochłody. A my? Żeglarz reński tak tęsknie nie podnosił oczu ku cudownej Loreley, jak my z krzeseł teatralnych ku wachlarzom w loży...

Kronika.

Lwów 20 grudnia.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej Swej szkatuły gminie Borki, w powiecie tarnopolskim, na budowę kościoła zapomogę w kwocie 200 zł.

Mianowania. JE. p. Namiestnik zamianował Wilhelma Misiewicza, praktykanta konceptowego przy c. k. Dyrekcji policji w Krakowie, c. k. koncepistą tej Dyrekcji Policji.

Dr. Witold Korytowski, szef prezydjalnego biura w Ministerstwie skarbu, otrzymał w nagrodę swojej znakomitej działalności urzędowej order Leopolda.

P. Tepa, sympatyczny malarz i najpierwszy w Polsce akwarelista, a jeden z pierwszych w Europie, zachorował bardzo ciężko. Śmierć wielkiego jego przyjaciela, śp. Józefa Grelińskiego, oddziałała tak silnie na wrażliwy umysł artysty, że od tego czasu podupadał on coraz bardziej na zdrowiu, aż wreszcie choroba wybuchła w całej pełni. Może jednak zabiegom lekarzy uda się uratować Polsce tego wielkiego artystę.

Dochód z rautu p. Marchwickiej (na rzecz Tow. Pracy kobiet) po zamknięciu wszystkich rachunków okazał się jeszcze wyższym, bo wynosił 861 zł. 5 ct. i 3 dukaty.

Pamiętajcie o dziatwie biednej. Na gwiazdkę dla szpitaliku świętej Zofji przyjmuje p. Wernerowa Leontyna (ul. Sobieskiego 3) stare zabawki dla dzieci.

Stypendjum im. Gałęzowskiego. Komitet fundacji stypendyjnej śp. Seweryna Gałęzowskiego im. Śniadeckich widział się spowodowanym termin konkursu na rok 1890, przedłużyć do dnia 31 stycznia 1890 pod warunkami w swoim czasie ogłoszonemi, a mianowicie:

Stypendjum im. Śniadeckiego w kwocie 5000 franków rocznie, przypada na rok 1890 kandydatom poświęcającym się naukom przyrodniczym.

Nadane być może asystentowi lub docentowi obu Uniwersytetów krajowych, lub jednego z zagranicznych (tym ostatnim z warunkiem dostatecznej do wykładu biegłości w języku polskim).

Do podań, które najdalej po koniec stycznia roku 1890 wnosić należy do Akademji Umiejętności (Kraków, ul. Sławkowska), dołączyć należy:

1) Dowód, że kandydat jest asystentem, lub docentem, jakiego przedmiotu, jak dawno, ilu miewał słuchaczy.

2) Prace naukowe, bądź już drukiem ogłoszone, bądź w rękopiśmie będące.

3) Program studjów, które w ciągu roku przedsiębrać zamierza.

Po upływie pierwszego półrocza kandydat będzie obowiązany złożyć sprawę z prac naukowych, któremi zajmował się w tym czasie i usilność swoje w tej mierze w właściwy sposób udowodnić.

Sumę sobie przyznaną stypendysta odbierać będzie w ratach półrocznych z góry.

W Krakowie dnia 16 grudnia 1889 r.

Stanisław Tarnowski, sekretarz jen. Akad. Um.

† Dr. Konstanty Tomaszczuk, profesor uniwersytetu czerniowieckiego i poseł do Rady państwa, jeden z najzawziętszych nieprzyjaciół naszego narodu, umarł wczoraj w Wiedniu. Stronnictwo centralistyczne traci w nim wielką siłę parlamentarną.

Zmarli. W Warszawie zmarł Władysław Sandecki, utalentowany rysownik i ilustrator, w 2 roku życia. Zasilał on rysunkami swemi *Biesiadę literacką*, *Kłosy* i *Tygodnik*. W roku bieżącym, chcąc kształcić się dalej w obranym kierunku, wyjechał za granicę i przebywał kolejno w Berlinie, Dreznie i Paryżu. Z pism francuskich *Monde illustré* zamieściło już i ma jeszcze kilka prac Sandeckiego. W powrocie do kraju zatrzymany z powodu formalności paszportowych przez władze pruskie w Toruniu, zaziębił się i powrócił do Warszawy z zarodkiem choroby piersiowej, która rozwinąwszy się gwałtownie, przecięła pasmo dni jego w kwiecie wieku.

W Olesinie, w powiecie brzeżańskim, zmarła w 70 roku życia Barbara z Jaworskich Marmoroszowa, zacna Polka i matka licznej rodziny; lud tamtejszy traci w zmarłej prawdziwą opiekunkę i dobrodziejkę.

Marja Walsleben z domu Früauff, żona obywatela miasta Lwowa, zmarła we Lwowie przeżywszy 40 lat.

Odwilż. Przed paru już dniami zwolniały u nas mrozy, a dziś mamy odwilż. Z rana termometr wskazywał trzy stopnie ciepła — południe pięć. Panująca teraz temperatura, o ile przyniosła ulgę warstwom biednym, którym trudno mieć odpowiednią odzież, a jeszcze trudniej o opał, nie jest jednak w ogóle zdrową, gdyż nadzwyczaj sprzyja grasującej dziś w Europie chorobie t. zw. influencji. O szerzeniu się jej w coraz to innych miastach i okolicach spotykamy w dziennikach pełno wiadomości — oby nie zawitała i do nas.

Posiedzenie Rady miejskiej odbyło się wczoraj wieczorem.

Prezydent, p. Mochnacki zdał na niem sprawę z rokowań przeprowadzonych w Wiedniu w przedmiocie zaprowadzenia państwowej szkoły przemysłowej, oraz szkoły kadetów we Lwowie. Sprawozdanie to przyjęła Rada do wiadomości.

Na zapomogi dla urzędników i sług Magistratu uchwaliła Rada sumę 2000 zł., zaś Tow. „Harmonja" przyznała na rok 1890 subwencję w kwocie 3000 zł oraz wolne mieszkanie wartości 500 zł.

Wreszcie zezwoliła Rada na otwarcie ulicy w przedłużeniu ulicy Sakramentek przez grunta realności Wandy hr. Zamoyskiej i Tekli Skrzyszowskiej.

Na posiedzeniu tajnem nadała Rada posadę referenta miejskiego biura statystycznego dr. Kazimierzowi Ostaszewskiemu-Barańskiemu, zaś posady nauczycieli w miejskim Zakładzie sierót pp. Władysławowi Mięsowiczowi i Wintemu Wałaszkiewiczowi.

Egzamin uczniów szkoły Towarzystwa ogrodniczo-sadowniczego we Lwowie odbędzie się w niedzielę dnia 22 grudnia 1889 o godzinie 3 po południu w zabudowaniu seminarjum męzkiego nauczycielskiego ul. Kalecza I piętro. Zarząd towarzystwa zaprasza na ten popis wszystkich członków Towarzystwa jakoteż wszystkich miłośników ogrodnictwa, sadownictwa i pszczelnictwa.

Spółka naftowa. Dnia 18 b. m. odbyło się w obecności rejenta p. F. Wolskiego prawne zawiązanie i ukonstytuowanie się spółki udziałowej dla przemysłu naftowego w Galicji, mającej na celu popieranie tegoż przemysłu przez umieszczanie kapitałów spółki na udziałach w kopalniach naftowych galicyjskich, będących własnością członków spółki, a prowadzonych przez fachowych przedsiębiorców, w ten sposób przysporzenie zysków członkom bez ryzyka i niebezpieczeństwa wynikającego z kopania lub wiercenia we własnym zarządzie.

Po uchwaleniu statutu nastąpiło ukonstytuowanie się spółki w następujący sposób: Do Rady nadzorczej wybrani zostali pp. Henryk hr. Skarbek (prezes), Leszek Dąbczański (wice-prezes), Kazimierz Zieliński (sekretarz), Kazimierz Franciszek Ostaszewski (zastępca), Leon Bratkowski, Wincenty Łukaszewicz, dr. Tadeusz Szydłowski.

Dyrektorami zostali zamianowani: dr. Br. Dulęba, Edmund Łoziński, Władysław Terenkoczy. Zastępcami: Fr. Kuczyński, Ludwik Zielonka, Paygert.

Do komisji kontrolującej: Gabrjel Geringer d'Oedenburg, Edward Grzybowski, Juljan Topolnicki.

Udziały wynoszące po 300 zł. wypłacać należy do rąk członka dyrekcji p. Wł. Terenkoczego w biurze Towarzystwa zaliczkowego we Lwowie plac Marjacki l. 9.

Zakład p. Bartoszyńskiej. Z powodu doniesienia naszego korespondenta warszawskiego o urządzonej w Warszawie szwalni dla biednych dziewcząt, zwraca nasze uwagę jeden z naszych prenumeratorów, że i we Lwowie istnieje podobny zakład. Założyła go pani Bartoszyńska przy placu Strzeleckim pod l. 2 na I piętrze, a zakład ten ma na celu wyuczać bezpłatnie zubożałe a inteligentne osoby nauki kroju, za co zwykle trzeba gdzieindziej płacić po kilkanaście zł. Nadto, zupełnie ubogie uczennice otrzymują bezpłatnie wszystkie przybory. Prenumerator ten prosi nas, abyśmy donieśli o istnieniu tego zakładu, a może która z zamożniejszych a dobroczynnych naszych pań zechce poznać się bliżej z tą humanitarną instytucją, wesprzeć ją i postawić na tej stopie, aby zacną swą działalność mogła rozszerzyć na wielką skalę. Czynimy zadość temu żądaniu, a notatka nasza może powyższy skutek odniesie.

Nowa szkoła dziewcząt we Lwowie. Filja szkoły żeńskiej im. Czackiego została przeniesioną na ulicę Kościuszki pod l. 6, zorganizowaną jako osobna szkoła sześcioklasowa dla dziewcząt wszelkich wyznań miejscowych i otrzymała nazwę: „Szkoła żeńska im. Staszica".

Program wieczornicy, którą urządza w niedzielę w sali Kasyna miejskiego Kółko śpiewackie „Echo", jest nader zajmujący. Jako punkt pierwszy programu wykonaną będzie prześliczna „Ballada zimowa" Saint-Saensa przez chór „Echa", dalej p. Szymański odśpiewa arję z opery Mayerbeera „Dinorah" i pieśń Żeleńskiego, recytator p. S. wygłosi ustęp z „Balladyny", pp. Jamiński, Fontana i J. Borkowski odśpiewają tercet z „Fausta", następnie chór „Echa" wykona znowu parę utworów Maszyńskiego i Moniuszki, p. Witoszyński wygłosi monolog Fischera „Rajschower", a w końcu wykonaną zostanie zabawna operetka Engelsberga p. t. „Rygorozum w lecie", w której bierze udział ośmiu solistów i chór, a w której Famulus odśpiewa, jako wkładkę, nowe kuplety z „Opowieści Hoffmana". Początek wieczornicy o godz. 7 wieczorem.

Pisma ruskie — a *Diło* na ich czele — mocno chwalą posła Ozarkiewicza za to, że wystąpił ze związku prawicy, i wzywają innych posłów ruskich w Radzie państwa, aby to samo uczynili. *Diło* dodaje, że „ruskiego posła nic teraz nie może wiązać z prawicą — z Polakami, Staroczechami i niemieckimi konserwatystami".

Czyż naprawdę *Diło* mniema, że poseł wybrany przez jeden okręg w Galicji może nie mieć nic wspólnego z posłami wybranymi przez inne okręgi tej samej Galicji? Bo przecież pamiętać o tem potrzeba, że konstytucja austrjacka w rzeczach legislacyjnych nie zna ani Polaków ani Rusinów, ale zna tylko wyborców uprawnionych do głosowania na podstawie opłacanego podatku. A stojąc na tem stanowisku, trudno nam przypuścić, żeby wyborcy p. Ozarkiewicza byli mu wdzięczni za to, że występując ze związku prawicy, powiększył przez to samo siły centralistów, największych wrogów Galicji.

W Krakowie zmarła onegdaj (18 bm.) Franciszka Helclowa, wdowa po znakomitym mężu politycznym, uczonym prawoznawcy i historyku a oraz dzielnym szermierzu w obronie prawd chrześciańskich, śp. Antonim Helclu.

W kilkanaście lat po zgonie męża pospieszyła za nim w lepszy świat śp. Franciszka z domu Prandota Schrudzińska w 80 roku życia, a Kraków stracił z jej śmiercią bodaj czy nie ostatni typ matrony polskiej, łączącej w sobie wdzięk niewieści i cnoty serca obok wielkich przymiotów rozumu. Pozbawiona szczęścia macierzyńskiego, bo bezdzietna, śp. Franciszka Helclowa wzięła za hasło swojego życia: koić nędzę bliźnich, przynosić im pomoc i słowa pociechy a przykładem własnego życia i nieprzepartą siłą słodyczy słów i wzorem cnoty nawracać ich do szlachetniejszych prawd życia.

Na Gwiazdkę. Towarzystwo dla przemysłu drzewnego w Zakopanem nadesłało do handlu pp. Seyfartha i Dydyńskiego mnóstwo przedmiotów wyrobu drzewnego z bardzo pięknemi rzeźbami, które te objekta, szczególnie przed świętami, polecają się same przez się na Gwiazdkę i do zwykłego użytku domowego.

Z Tarnopola nam donoszą, że tam wczoraj (czwartek) wieczorem przybył kurjerskim pociągiem nasz mistrz, Jan Matejko, w towarzystwie swej córki. Donosząca nam o tem osoba wyraża żal, że Tarnopol nic o tem nie wiedział, iż tak dostojny gość zawita w jego progi, — byłby się bowiem należycie przygotował na jego powitanie i uczczenie.

W sprawie naszych lasów. Z Pokucia nam piszą, że mieszkańcy tameczni zamierzają wnieść do Namiestnictwa petycję, aby się z indemnizacji propinacyjnej zakupiło lasy nad Czarnym i Białym Czeremoszem, a przedewszystkiem te, które otaczają Burkut, gdyż żydzi niszczą je w sposób barbarzyński i wbrew wszelkim zasadom racjonalnej gospodarki.

Z Wyżnicy nam donoszą, że dnia 15 b. m. w Czereszeńce na Bukowinie zamordowano i obrabowano żyda, idącego z targu w Wyżnicy. Bezpieczeństwo na drogach publicznych ma coraz bardziej upadać na Bukowinie.

Zamach na listonosza w Londynie. W dzielnicy handlarzy djamentami, Hatton-Garden w Londynie, wykonany został w tych dniach z rafinerją obmyślany zamach na listonosza. Sprawcami zamachu byli dwaj dotychczas niewyśledzeni ludzie, którym już przez kilka dni przynosił listy ten sam listonosz.

Dnia 16 b. m. przyszedł listonosz znowu z listem do nich i podczas gdy jeden podpisywał recepis drugi rzucił się na listonosza i powalił go na ziemię. Następnie związawszy go, zatkali mu usta i odurzyli chloroformem. Ubezpieczywszy się w ten sposób zabrali się obaj rabusie do przeglądania wszystkich posyłek wartościowych, które listonosz miał przy sobie. Było tam do 30 listów poleconych, zawierających pie-

„365 obiadów"

pod równikiem.

Nie wiem, czy szan. autorka wymienionego powyżej w cudzysłowie, a tak dobrze znanego dzieła, pomimo całej swej sławy i popularności przypuścić mogła kiedykolwiek, że cenne jej przepisy znajdą zastosowanie gdzieś na dzikiej, podrównikowej wyspie i że aż tam jakaś skłopotana gosposia szukać będzie pomocy w jej doświadczeniu...

Tak się przecież stało, „365 obiadów" powędrowało ze mną przez ocean i mój czarny kapłan kuchennego ogniska zna dobrze tę bronzowo oprawną książkę i z poszanowaniem spogląda na to źródło kulinarnej wiedzy, z którego coraz to nowe płyną dla niego nauki, przetłómaczone przezemnie na murzyńsko-angielski żargon.

Chop-book (książka jedzenia), jak ją nazywa, jest więc zarazem bezwarunkowo pierwszą polską książką, z jaką zakute afrykańskie mózgownice miały kiedykolwiek do czynienia, jak jest w naszej literaturze pierwszą (oby nie ostatnią), która takiej liczby wydań się doczekała.

A mieć do czynienia z „365-ciu obiadami" w Afryce, to nie tak łatwa sprawa, proszę mi wierzyć. Mnie samej z początku zdawało się, iż ta skarbnica przepisów przyda się chyba do wywołania wspomnienia różnych smacznych rzeczy, które się zwykło jadać w Warszawie, a o których tu ani marzyć.

Pamiętam dobrze tę chwilę, kiedy pomna twierdzenia p. Ćwierczakiewiczowej, iż „smacznie przyrządzony obiad jest podstawą szczęścia małżeńskiego" wzięłam się w ciszy palmowej ustroni do sumiennych studjów nad jej dziełem, zaczynając od „spisu rzeczy."

Otwierają go, jak wiadomo, „zupy."

Zobaczmy... rakowa, szczawiowa, neapolitańska, cytrynowa, grzybowa biała, chłodnik (och! chłodnik), piwna etc... wszystkie wyborne, tylko do przyrządzania ich tutaj, oprócz takich drobnostek, jak: raki, szczaw, grzyby brak głównej ich zaprawy, ach! zaprawy tylu innych potraw — śmietany!

Na całem Fernando Poo jest tylko jeden... wół — własność rządowa, który dzięki temu używa przywileju wylegiwania się na samym środku ulic miasta Santa Izabel, gdzie mu tem wygodniej, iż dokoła rosną piękne, bujne chwasty i jego wołowa mość może, nie ruszając się, spożywać o szarej godzinie podwieczorek.

Raz, przerwałam mu taką ucztę, potknąwszy się w pomroce o jego cyrkumferencję i tylko uśmierzającemu wpływowi klimatu zawdzięczam, iż w bardzo dotykalny sposób nie przekonałam się o prawdzie zastosowanego *mutatis mutandis* przysłowia o wole i Jowiszu, a mianowicie, iż na Fernando Poo wolno wołowi leżeć o szarej godzinie w poprzek ulicy, ale człowiekowi o tej porze spacerować po niej bezkarnie nie wolno.

Otóż wiadomo, iż najbardziej rozpanoszony wół na produkcję śmietany w danej miejscowości nic a nic wpłynąć nie może i dla tego musiałam przejść z westchnieniem nad śmietanowemi zupami do porządku dziennego.

Natrafiłam na rozdział zatytułowany „wołowina!"

Miły Boże! co tu za wybór. Klopsy, klopsiki, zrazy, zraziki, pieczenie, sztufady, polędwice, cała geografja befsztyków, że nie wspomnę o bigosach, flakach i ozorach.

Codzień coś innego zadysponować można. — Tak, ale jest sęk, maleńki sęczek. Skąd wziąć mięsa?

Jak się rzekło, na całej wyspie jest tylko jeden wół i ten, choćby go nawet gubernator, po gruntownem rozpatrzeniu kwestji z radą municypalną kazał zarznąć, błysnąłby ledwo niby ten meteor na niebie moich gastronomicznych desideratów.

Wprawdzie, cztery razy do roku zawija tu hiszpański okręt, specjalnie z Kadyksu na Fernando Poo delegowany i stoi dni kilka w porcie, a wtedy przez stosunki i protekcję u kapitana można dostać świeżego mięsa z zabijanych dla okrętowej konsumcji wołów, wprawdzie p. gubernator i komendant portu są tak pełni galanterji dla mnie, iż przysyłają mi za każdym razem po parę funtów polędwicy, tak samo jak w Europie grzeczni znajomi przysyłali mi kwiaty i cukierki, ale takich wyjątkowych okazji nie można brać w rachubę domowego regulaminu.

Nowe westchnienie, zatem i nowy przeskok.

Toż samo przy wszystkich przemianach, w jakich niby kulinarny bóg Wisznu, cielęcina, baranina i wieprzowina mogą ukazywać się na stole szczęśliwego śmiertelnika, kiedy ma żonę, a ta żona ma dzieło p. Lucyny, oboje zaś mieszkają w krajach, o których nie można śpiewać, że „kwitną w nich pomarańcze", ale w których za to prosperują tak szacowne instytucje, jak targ i jatki.

Nasza wyspa, nasza *hermosa* (piękna), jak ją zwą Hiszpanie, nasz „ogród aklimatyczny całego świata", jak ją zwą geografowie, nie plami się podobnemi rubasznościami.

Jeżeli wśród jej ananasów i palm błądzą gdzieniegdzie samotne okazy melancholijnych wieprzaczków i potulnych baranów, to używają one tutaj arkadyjskiej swobody. Nikt na ich życie nie czyha, chyba że właściciel, rozesławszy kurendę do miejscowej pieniężno-socjalnej arystokracji zbierze dostateczną ilość podpisów, zapewniającą mu rozkupienie mięsa w ciągu paru godzin, inaczej nie ryzykowałby się zabijać tych niewinnych stworzeń, w tutejszym klimacie bowiem mięso psuje się niesłychanie szybko.

Idźmy dalej.

„Drób" (rozdział X) „zwierzyna", „ryby".

Bogu dzięki! zaczynam czuć pewniejszy grunt pod nogami. Kur mamy obfitość, kaczek także można dostać, jeżeli się za nie dobrze zapłaci (dolara, czyli dwa złote za sztukę), wybornych dzikich gołębi dostarczają *babisi*, górale fernandoposcy, nawiasem mówiąc najbrudniejsze, najgłupsze i najwstrętniejsze plemię, jakie wydała rasa czarna. Jedyne co umieją, to celnie strzelać; ich też fuzje zaopatrują całą wyspę w mięso antylopy, jelenia i wiewiórki.

Ryb także zatrzęsienie, choć głównie małych. Nasz rybak przynosi codziennie całe skrzynki sardynek, zwanych *mina*, oraz płaskich, szerokich, różowawych rybek, zwanych *sajnos*, oprócz tego po kilka dużych, bezimiennych sztuk.

Następują „jarzyny".

I tu kłopot niewielki. Z krajowych jest *jams*, pyszny, ziemny owoc, będący poprawioną i powiększoną edycją kartofla, są „berenheny", kształtem podobne do ogórka, a w smaku przypominające szparagi; jest „okro", zielona, podłużnowata kolba, pełna kleistej, białej masy i drobnych okrągłych ziarnek (bardzo zdrowe i pożywne jedzenie), jest „koka" (*colocasia esculenta*), której młode liście zastępują szpinak, a korzeń mączysty daje coś także w rodzaju kartofla, są wreszcie niezliczone inne zieleniny, nie mówiąc już o tem, że kto chce założyć sobie ogród i sprowadzić nasiona z Europy, może mieć buraki, pomidory, marchew, ogórki, groszek zielony, sałatę, rzodkiewki, słowem całą warzywną armję naszych wiejskich grządek.

Jaja są, mąka jest, uśmiecham się więc do rozdziału, zatytułowanego „różne mączne i jajeczne potrawy", tracę nieco werwy przy „Leguminach", jako bardziej skombinowanych preparatach, pomijam „Kremy i galarety" (na to będzie dosyć czasu, gdy wynajdą tańszy, niż dotychczas istniejący, sposób fabrykowania lodu pod równikiem), lecz dumnieję za to przy „kompotach"... O takich owocach, z jakich ja tu przy pomocy cukru i wody cudów dokazywać będę, nawet p. Ćwierczakiewiczowa nie śniła: mangi, gujawy, cidry, aligatorpury (inaczej, nie wiem dlaczego, zwane adwokatami), banany, pomme-rosy, no, i naturalnie królowie owoców — ananasy. Wszystko to do mojej dyspozycji, tylko rwać i smażyć.

Sytuacja tedy nie jest tak rozpaczliwą, jak się z początku zdawało; należy teraz przekonać się, jak w praktyce wygląda. Wołam więc mistrza Ali (tak na imię memu kucharzowi), aby mu zadysponować obiad.

— „Look!" — mówię z rozjaśnioną twarzą, kładąc rękę na „365-ciu obiadach" dla większego natchnienia — zabijesz kurę.

— „A man-fowl, or a woman-fowl?" (mężczyznę-kurę, czy kobietę-kurę?) — pyta z powagą.

— Kobietę — odpowiadam z równą powagą po chwilowem namyśle.

Trzeba wiedzieć, iż żaden murzyn, chyba, że jest w nieprawdopodobny sposób ucywilizowany, nie wdaje się w określanie płci zwierząt odmiennemi nazwami. Dla niego istnieje tylko mężczyzna i kobieta: mężczyzna-pies i kobieta-pies, mężczyzna-kaczka i kobieta-kaczka, mężczyzna-krowa i kobieta-krowa; tak jak prócz tego każdy czworonóg zdatny do jedzenia nazywa się „beef" (wołowina), z tą tylko różnicą, że jeleń jest „a big beef" (wielka wołowina), a wiewiórka lub jeż „a small beef" (mała wołowina). To też gdy w kolonjach zdarzy się wiekopomny fakt zabicia wołu lub barana, można widzieć po ulicach chodzącego murzyna-reklamistę, który dzwoni i obwieszcza narodowi, że ma do sprzedania „a cow-beef" (krowią wołowinę) i „a sheep-beef" (owczą wołowinę).

Anglicy pokładają się od śmiechu, ale wiedzą, że na niby się nie zdało chcieć odzwyczaić czarnego od tej fantastycznej nomenklatury, tak jak niepodobna nauczyć go, aby mówił „I know" (wiem), zamiast „Me save".

Hajota.

(Dok. nast.)

niądze i 32 paketów z djamentami, które nadeszły z Capstadt. Biednego listonosza odszukano dopiero po południu. Rabusiów owych prawdopobnie Amerykanów, policja dotychczas nie wyśledziła.

O pojmaniu Buszirego a następnie o straceniu go mocą wyroku sądu doraźnego donioslý onegdajsze telegramy. Któż to był ten Busziri? — zapytał zapewne nie jeden z naszych czytelników — cóż to za mąż afrykański, na którego polowano jak na dzikiego zwierza, a złowiwszy powieszono do dwudziestu czterech godzin. Owóż ten Busziri był hersztem band powstańczych w niemieckich koloniach wschodnio-afrykańskich, stał więc na czele krajowców, którzy woleli zatrzymać stary porządek rzeczy, niż ugiąć wolny dotąd kark pod rozkazy „der strammen Regierung" pruskiej pikelhauby.

Z przebiegłością i zręcznością, wrodzoną ludziom natury, Busziri broił przez długie lata, zasiadał na europejskich kolonistów, schwytanych obdzierał do naga lub w przystępie złego humoru własnoręcznie mordował, osady palił i rabował — słowem tak zręczną prowadził partyzantkę, iż go Niemcy schwytać nie mogli. Niejednokrotnie rozbijano jego bandy, wieszano jego towarzyszy, lecz mimo tego Busziri znów powstawał z zmarłych, znów gromadził w koło nowe hufce ufające ślepo jego odwadze i szczęściu, i znowu hulał po obszarach stojących pod opieką niemiecką. Mimo wyznaczenia nagrody na jego głowę szczęście służyło mu stale, a równocześnie podniecało jego dzikie instynkta.

W miarę powodzenia i bezkarności stawał się Busziri coraz zuchwalszym i dzikszym. Z łagodnego partyzanta, który dawniej dosyć po ludzku obchodził się z jeńcami i za okupem na wolność ich puszczał, jak n. p. misjonarzy w Pugu, stal się krwiożerczym i gwałtownym. Z ochotnikami zbiegłemi pod jego chorągiew był srogim nad wyraz. Za byle uchybienie przeciw karności obozowej karał ich śmiercią, za donosy przeciw sobie palił całe osady, o czem niejednokrotnie donosił władzom niemieckim podróżnik Grawenreuth. Z przybyciem do Afryki Wissmanna polowanie za Busziritn stało się energiczniejszem, a kiedy wieść doszla, że on w Mpwapwie własnoręcznie stracił Duńczyka Larsena, wtedy naprężono wszystkie siły aby ująć i zrobić nieszkodliwym zuchwałego watażkę. Pościgiem kierował dr. Schmidt i on to pojmał Buszirego a pojmanego kazał stracić.

Dlaczego p. Vasaty został Młodoczechem? Jedno z pism opowiada następującą anegdotę:

„Teraźniejszy apostoł moskiewszczyzny w parlamencie austrjackim, jak każdy wielki człowiek, ma swoję słabą stronę. Do Samsona podobny jest w tem, że zarówno z nim całe swoją siłę zależną ma od włosów, ale Dalila, chcąca pozbawić p. Vasatego siły, nierównie łatwiejsze miałaby zadanie, jak z Samsonem, potrzebowałaby jeno zdjąć mu z głowy perukę. Pan Vasaty jest bowiem łysy, ale to łysy jak kolano! O tej tajemnicy nikt jednak w parlamencie nie wiedział, pięćdziesięcioletni bowiem poseł i przyszły minister spraw zagranicznych młodoczeskiego królestwa, nosi wspaniałą czarną perukę, farbuje bródkę, różuje twarz, a nawet sznuruje się, tak że czyni wrażenie młodzieńca. Aż tu pewnego razu nieszczęście chciało, że jeden z posłów Staroczeskich przyszedł do p. Vasatego zrana, wszedł, nie zapukawszy — no i zobaczywszy go z łysą głową, siwą bródką i zmarszczkami na twarzy, pośpieszył opowiedzieć o swojem odkryciu w klubie czeskim.

„Na drugi dzień pan Vasaty został Młodoczechem!"

Korespondencja Administracji. *WPan W. P. w Strzeliskach.* List pański oddaliśmy komu należy, a więcej o tej sprawie nic nie wiemy.

Teatr. Dziś po raz trzeci „Złote rybki", komedja w 4 aktach Fr. Schönthana (z niemieckiego).

Jutro „Hugenoci", opera w 5 aktach Mayerbeera, występ panny O. Rubini.

Literatura i Sztuka.

* **Przedstawienie amatorskie**, dane wczoraj w kasynie miejskiem staraniem i na rzecz Towarzystwa imienia Stanisława Staszica, powiodło się bardzo dobrze. — Z trzech komedyjek bezsprzecznie najlepiej wypadły „Dzieciaki" Świderskiego.

Znani już publiczności amatorowie — panna Wich. i pp. Sul i Skw. — wywiązali się ze swych ról znakomicie; to też tę sztuczkę najgoręcej licznie zebrana publiczność oklaskiwała.

Gładko poszły „Miodowe miesiące" Madejskiego i francuska farsa „Przejście Wenery". W pierwszej należy się palma pierwszeństwa pannie Zion. sympatycznej adeptce naszej sceny, i p. Ladoś, lecz także i dwie inne amatorki, panny C. i U., oraz amatorowie D. Szczęs. i S. zasługują na pochwałę.

W antraktach odegrała orkiestra 30 pułku p. kilkanaście ślicznych utworów, uwertur i potpourri przez swe najlepsze siły. *Dr R. K.*

Rozmaitości.

— **Zola u akademików.** Zola zgłosił nareszcie kandydaturę swoję do fotelu Akademji francuskiej, a świat cały pilnie baczy, jak też sobie grono 40 nieśmiertelnych z jego kandydaturą poradzi.

Jeden z najgłośniejszych feljetonistów prasy francuskiej, Albert Wolff, kronikarz *Figara*, z nieporównaną werwą swoją i dowcipem, delikatne położenie Zoli w obec Akademji i akademików w obec tego głośnego pisarza, ująwszy rzecz ze strony humorystycznej, przepysznie przedstawił.

Emil Zola — donosi Wolff — zgodnie ze zwyczajem, rozpoczął wczoraj przedwyborcze wizyty u akademików. Mistrz z Médonu o godz. 11 wsiadł na dworcu Saint-Lazare, do dorożki nr. 3.219 i kazał się z tamtąd wieźć

Do Pewnego poety.

— Pragnąłbym się z panem zobaczyć — rzekł Zola.

— Czy z interesem? — zapytuje go służący.

— Zanieś mój bilet.

— Ale bo, proszę pana, jeżeli to w sprawie akademickiej, to pan nie przyjmuje. Pan jest dzisiaj 35 z rzędu. Już trzy wybory przesłużyłem u mojego pana, a nigdy jeszcze takiego tłoku nie widziałem. Zresztą zaniosę bilet.

Przez drzwi nawpół otwarte mistrz z Médonu słyszy głos kobiecy:

— Antoni, miej się na baczności. Ten człowiek gotów nam w przedpokoju jakie nieprzyzwoite ogłoszenia rozlepić.

Zola zastaje gospodarza bladym nieco, skarży się na migrenę, twierdząc, że od 9ej ciągła u niego procesja. Ale dodaje po chwili, że Zoli nie wlicza do tłumów.

— Kandydatura pańska Akademji zaszczyt przynosi — mówi dalej poeta. — Ach! „*La Faute de l'abbé Mouret*", to arcydzieło! Ten opis Paradou, a ten wykrzyk Dezyderji, stanowiący zakończenie pogrzebu Albiny: „Sergjuszu, krowa nam się ocieliła." Cudowne! O nie broń się pan, pan jesteś poetą. Nikt nie wcielił tak ideału wsi naprzykład... Oj! ta krówka w „*La Terre*"! Oczywiście będę za panem głosował, będę.

Podczas gdy lokaj podawał mu futro w przedpokoju, usłyszał Zola, jak pani domu mówiła do męża:

— Nie wyobrażałam go sobie takim; ani razu nie splunął na dywan.

Od poety kazał się wieźć Zola

Do pewnego dramaturga.

Akademik czekał na Zolę w swoim gabinecie i niby przypadkiem przerzucał rozdział z „*Nos auteurs dramatiques*", jego prac dotyczący.

— Zachwycony jestem pańską obecnością, panie Zola. Może mi pan też co doniesie o znakomitym koledze moim, Wiljamie Busnachu (pisywał sztuki do współki z Zolą). Bardzo wysoko cenię tego pisarza. Mówiono nawet, iż ma zamiar pretendować o fotel po Augierze. No, ale z chwilą, w której pan nam ten zaszczyt robi, oczywiście wypada mu się cofnąć.

Tu Zola zdobył się na odpowiedni grymas, dramaturg ciągnął zaś dalej:

— Pan bo bardzo surowy zawsze byłeś dla sztuk moich. Nie wymawiam tego panu bynajmniej, masz pan talent ogromny i to mi wystarcza. Ale czyś się pan zastanowił dobrze? Bo to trzeba bądźcobądź powiedzieć coś o Augierze. No, ale pan dobrze rozumie, co można mówić w Akademji; jest to rodzaj salonu, w którym przyjdzie panu wspomnieć o jednym z przyjaciół domu. Zresztą, to sprawa załatwiona, wszyscy autorowie dramatyczni głosować będziemy za panem.

Z kolei udał się Zola

Do pewnego historyka.

Znalazłszy się wobec akademika.

— Panie, mówiono mi — rzekł Zola — że wizyty t. zw. akademickie, to ciężki obowiązek; tymczasem, sądząc po przyjęciu, jakie mnie spotyka...

— Ależ, panie, nic dziwnego, człowiek z pańskiemi zasługami. Oto, patrz pan, czytałem właśnie „Nanę". Cudowna rzecz, dziwi mnie tylko, że takie dla niej wybrałeś pan otoczenie.

— Ależ...

— O proszę, nie rozumie mnie pan zapewne. Gdyby to wszystko przenieść pod błękitne niebo Grecji. A co za tytuł! Np. „Aspasia Nanos." Mógłby wystąpić i Alcybiades, i pies jego, a jak panu zapewne wiadomo brak dotąd dokładnego opisu psa alcybiadesowego.

— Ja...

— Ja pana rozumiem; pewny byłem, że człowiek pańskiego talentu nie może być obojętnym na piękności Grecji.

— Ależ ja wcale nie jestem Grekiem.

— No tak, i ja nim nie jestem. Czyż to jednak jedno drugiemu przeszkadza. Albo opis buduaru Aspazji. Na kominku biust Fidjasza, tam znowu Wenus Praksytelesa, tu na taburecie Aristofanes, czytający Aspazji jedną z ostatnich swoich komedyj. Obiecałem wprawdzie głos panu Thureau-Dangin, ale mu go odbieram, będę głosował za autorem „Aspasji Nanos". Do widzenia, w przyszłości kolego kochany.

Po wyjściu od historyka, Zola, mrucząc przez zęby: „Dziwni ludziska!", kazał się wieźć.

Do pewnego powieściopisarza.

Tu przyjęto go z otwartemi rękoma. Powieściopisarz w doskonałym był humorze. Właśnie wydawca jego przysłał mu z ostatnich trzech miesięcy honorarjum w ilości 3680 fr. 50 cent. po 10 su od egzemplarza.

— I powiedzieć tu — rzecze gospodarz — że co trzy miesiące odbieram podobną sumkę.

— Ja — odparł Zola — odbieram od wydawcy mojego, Charpentiera, co miesiąc 8000 fr. Dość napracowałem się za młodu, aby na starość módz pociągnąć trochę wydawców. Zresztą Charpentier i tak zarabia 20 su na egzemplarzu.

— Tak, tak — mówił dalej akademik — minęły czasy, w których wyzyskiwano nas. Dziś, mając jakieś 30.000 fr. dochodu z dzieł swoich...

— To niewiele — zauważył Zola — ja przeciętnie miewam po 150.000 fr., nie licząc kontraktów z zagranicą.

— Aż tyle — westchnął gospodarz.

A po chwili:

Ja bo nie umiałem nigdy chodzić około swoich interesów.

— Nie znam nikogo, ktoby tyle, co ja, zarabiał — rzekł Zola.

— A Jerzy Ohnet? — przerwał akademik.

Na wspomnienie to Zola wstał, a żegnając akademika, rzekł:

— Rozmowa literacka, którą miałem z panem, nie wyjdzie mi nigdy z pamięci.

A podczas gdy powieściopisarz zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej dać głos swój niezarabiającemu 150.000 fr. rocznie, aby go bodaj honorem pocieszyć, Zola z kolei zapukał

Do pewnego księcia

Książę przyjął Zolę ze szczególnemi oznakami sympatji.

— Nie umiem panu powiedzieć, panie *de* Zola — rzekł na powitanie były paż Ludwika XVIII i autor „Metternicha" — jak mi przyjemnie widzieć pana u siebie.

A wskazując obok stojący fotel mówił:

— Zechciej pan zająć miejsce w tym fotelu, zanim je zajmiesz w tamtym. Haftowała go niegdyś Disna z Poitiers dla Franciszka I.

Po chwili:

— Czytałeś pan mego „Metternicha"?

— Tak, książę panie. Huysmans czytał nam z książki tej parę rozdziałów w Medanie.

— O, ja wiem, że literatura dziś poszła innym torem i to dzięki tobie, panie *de* Zola. Spodziewając się pana u siebie, przerzuciłem te z dzieł pańskich, których dotąd nie znałem. Szczególnie „Ziemia" poruszyła mnie do głębi. *A propos*, mam pana prosić o pewną rad.... wskazówkę.

— Służę księciu.

— Oto, widzi pan, kochany panie *de* Zola, ten twój chłop w „Ziemi"... jakby tu powiedzieć... no, to bardzo szczęśliwy człowiek... chciałbym naprawdę być w jego położeniu... rozumie mnie pan, ale oczywiście w moim wieku... Ach, gdyby to się dało!... Może panu wiadomo, panie *de* Zola, jakby tu sobie poradzić.

Tu Zola, zaczerwieniony, pożegnał księcia.

W bramie szwajcar krzyknął:

— Ekwipaż pana Zoli!

A nie widząc podjeżdżającej karety, zapytał:

— Pan baron zapewne piechotą?

— Nie — odparł Zola. — Przyjechałem dorożką n. 3219, proszę jej zawołać.

Szwajcar spełnił życzenie, a gdy Zola odjechał, mruknął:

— Tacy oni wszyscy ci nasi wielcy panowie; dla oszczędzenia swoich koni gotowi tłuc się omnibusami.

. . . .

Zola dnia tego więcej już wizyt nie składał.

Część ekonomiczna.

§ **Brak paszy i jego konsekwencje.** Namiestnictwo wystósowało do wszytskich starostw okólnik, w którym podnosi, że w ostatnich dniach doszły go z różnych stron kraju wiadomości, iż w okolicach dotkniętych w skutek tegorocznej posuchy brakiem paszy dla bydła, ludność włościańska pozbywa się koni za bezcen, które handlarze skór zakupują w wielkich ilościach, zabijają, a ściągnąwszy skóry pozostawiają ścierwo na polach i w lasach niezakopane.

Namiestnictwo podnosi, że handlarze ci postępują z temi końmi w sposób iście barbarzyński; skupując je po wsiach trzymają pod gołem niebem o głodzie przez kilka dni, dopóki nie sprowadzą znaczniejszej ilości, wloką potem na miejsce stracenia, zostawiając po drodze padłe z głodu i wycieńczenia, a wreszcie sprowadzają na upatrzone miejsce, gdzie je dla braku rąk do zabicia pozostawiają bez pożywienia, wystawione na wpływy powietrza, lub zabiwszy wreszcie, po odarciu ze skór pozostawiają niezagrzebane.

Owóż w celu położenia tamy podobnemu, karygodnemu dręczeniu zwierząt, tudzież w celu zapobieżenia szkodliwym pod względem zdrowia skutkom, jakie z wiosną nastąpić mogą i wywołać łatwo zaraźliwe choroby przez wywiązywanie się szkodliwych miazmatów, Namiestnictwo poleciło starostwom, aby baczną zwracały uwagę na ten nader smutny objaw.

W szczególności poleciło Namiestnictwo zarządzić, ażeby tam, gdzie już wypadki powyżej skreślone zaszły, jak najrychlej gnijące ścierwa usunięte zostały. Następnie, ażeby zabijanie koni po myśli odpowiednich rozporządzeń odbywało się w sposób dla zwierzęcia najmniej bolesny i męczący, o czem ludność przez podwładne organa sanitarne mają starostwa pouczyć.

Dalej zarządziło Namiestnictwo, aby zabijanie koni odbywało się na ścierwisku gminnem, względnie na wyznaczonem w tym celu przez gminę miejscu, pod dozorem zwierzchności gminnej i oglądaczy bydła, tudzież przez ludzi do tego wprawnych; wreszcie, aby przestrzegano ściśle przepisów powyżej powołanej ustawy.

Okólnik poleciło Namiestnictwo zastosować w danych okolicznościach także do innych rodzajów domowych zwierząt.

Nad wykonaniem powyższego zarządzenia czuwać mają weterynarze powiatowi, oraz żandarmerja; winnych zaś w tej mierze pociągać mają starostwa do odpowiedzialności.

Z Izby handlowej donoszą nam:

C. i k. intendantura 10 korpusu w Przemyślu rozpisała pod dniem 15 grudnia r. b. l. 7009 licytację na dostawę wedle praktyk handlowych: a) 971 centnarów m. żyta i b) 322 centnarów m. owsa, które już do dnia 15 stycznia 1890 dostawione być mają do wojskowego magazynu prowiantowego w Przemyślu.

Odnośne oferty wnieść należy najdalej 23 grudnia 1889 do godziny 10 przed południem do c. i k. intendantury 10 korpusu w Przemyślu.

§ **Ankieta** w sprawie uregulowania waluty państwowej będzie niebawem zwołaną przez rządy obu połów monarchji. W tym celu przyjeżdżał w tych dniach do Wiednia sekretarz stanu z węgierskiego ministerstwa skarbu.

§ **Na wtorkowy targ na nierogaciznę** w Wiedniu przypędzono 5496 sztuk, w tej liczbie: — 1634 prosiąt, 2909 średnich i 955 ciężkich bagonów. Najsilniej były na targu reprezentowane Węgry, to też towar węgierski spadł w cenie o 1—2 ct. na kilogramie.

Płacono za towar przedni po 41—41½ ct., za średni po 38—39 ct. za lekki po 35—37 ct., za prosięta po 28—40 ct. za kilogram żywej wagi prócz spłaty akcyzowej.

Wiedeń 18 grudnia.

(Z) Rozpoczęty wczoraj spadek kursów trwał dalej w ciągu dzisiejszych operacyj. Lawina toczyła się dalej w dół, bo i nasze stosunki kredytowe i mdłe usposobienie Berlina wcale nie uspasabiały naszej spekulacji ku repryzie. Berlin dziś również zły miał humor, a przy prolongacjach 8-procentowa prowizja zdawała się wchodzić w stały zwyczaj. U nas nie poprawiały się takie warunki kredytu a gotówka była coraz trudniejszą do zdobycia, gdyż każdą sumkę rozporządzalną chwytały banki i więziły w swoich kasach. Obok tego wielki brak był dzisiaj na naszej giełdzie kupujących, a maklerzy bądź chodzili luzem, bądź zawierali transakcje między sobą. Natomiast podaż była silną, bowiem słabsza część spekulacji wyprzedawała swoje terminatki i pod łatwemi warunkami wyzbywała się swoich zwyżkowych zobowiązań.

Pod temi konjunkturami topniały przeto kursa dosyć rażno i byłyby zmalały nader znacznie, gdyby ostatecznie nie przeszkodziły były dalszemu spadkowi lepsze notowania berlińskie. Tam koło południa powróciło lepsze usposobienie, a gorliwie pracowały nad tem wielkie potęgi finansowe, gdyż dzień dzisiejszy był dniem subskrypcji nowych akcyj górniczych. Z chwilą odebrania lepszych notowań berlińskich wstrzymano dalszy spadek kursów na naszym parkiecie, więc zamknięto dzisiejsze czynności niższemi notowaniami w rentach i akcjach bankowych, lecz utrzymano wczorajsze a nawet o odrobinę pomyślniejsze kursa w papierach transportowych jak niemniej zwyżkę w niektórych efektach przemysłowych.

Oto ostateczne notowania:

Kredyty austrjackie 315·75, węgierskie 334·75, Anglobanki 148·50, Uniony 240·—, Bankvereiny 116·75, Länderbanki 218·30, Ludwiki 183·25, Czerniowieckie 230·50, Renta papierowa 85.80, srebrna 86·35, austrjacka złota 107·90, papierowa 100·65, węgierska złota 100·65, papierowa 97.95. Ruble 1·25¾.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 20 grudnia (pryw.) Rząd serbski zgodził się rozpocząć rokowania z Anglobankiem o rozwiązanie kontraktu co do monopolu solnego. Okazuje się więc z tego, że rząd serbski przeraził się sam swoich gwałtownych kroków.

Paryż 20 grudnia (pryw.) Urzędnik prefektury, niejaki Ragas, zamordował w biurze swego przełożonego za pominięcie go przy awansie. Zbrodniarza uwięziono.

Wiedeń 20 grudnia. Izba panów przyjęła ustawę dotyczącą dotacji N. Dworu, kontyngentu rekrutów na rok 1890, prowizorjum budżetowe i ustawę o markach ochronnych. Następnie wybrała Izba komisję, złożoną z 21 członków, która ma rozpocząć przedwstępne obrady nad rządowym wnioskiem, zapowiadającym kilka zmian w postanowieniach prawnych, dotyczących zasad nauki w szkołach ludowych.

W dalszym ciągu obradowała dziś Izba panów nad ustawą o kasach gwareckich i nad cesarskiem rozporządzeniem, udzielającem zapomogę z funduszów państwowych na rzecz dotkniętej nędzą ludności Galicji.

Na posiedzeniu Izby posłów dep. Heilsberg imieniem wojskowej komisji postawił wniosek, w którym domaga się zwołania ankiety, mającej zająć się sprawą dostaw dla armji z uwzględnieniem artykułów spożywczych gospodarstwa wiejskiego. We wniosku żąda on, aby rząd artykuły te starał się zakupywać wprost od samych producentów.

Kreuzig wnosi rezolucję, żądającą zwołania ankiety w sprawie przemysłowych dostaw dla armji; dalej rezolucję w sprawie oddania tych robót spółkom przemysłowym.

Pos. Kaiser wnosi, ażeby potrzeby wojskowe każdego oddziału armji zaspakajane były w najbliższej miejscowości gdzie odpowiednich materjałów dostać można i wnosi odpowiednią rezolucję.

Wszystkie rezolucje zostały przyjęte.

Prezydent zamykając posiedzenie życzył posłom wesołych świąt. Dzień następnego posiedzenia jeszcze nieoznaczony.

Praga 20 grudnia. Śmichowska reprezentacja miejska przeszła do porządku dziennego nad wnioskiem Młodoczechów, ażeby ulicę Schwarzenberga przechrzcić na ulicę Żyżki, za karę niejako za to, że ks. Schwarzenberg spotwarzył w Sejmie Hussa. Mniejszość niemiecka głosowała za wnioskiem przejścia do porządu dziennego.

Rzym 20 grudnia. Na Maddalena, w składzie węgli, wybuchł pożar. W składzie tym znajduje się 40.000 ton węgla. Pożar potrwa prawdopodobnie cały tydzień. Żołnierze i majtkowi, jakoteż więźniowie zakładów karnych, pracują nad ugaszeniem ognia.

Praga 20 grudnia. Podczas uroczystości immatrykulacji na czeskim uniwersytecie miał rektor mowę, w której ostrzegał młodzież przed pochlebcami, którzy ją chcą sprowadzić na bezdroża.

Berlin 20 grudnia. Cesarz lekko zachorował i przeto nie udał się na polowanie do Hummelshain.

Rzym 20 grudnia. Izba przyjęła 196 głosami przeciw 98 głosom organizację zakładów dobroczynnych, a 208 głosami przeciw 84 głosom przedłużenie ustawowego kursu banknotów.

Paryż 20 grudnia. Lafferonays miał zamiar zainterpelować ministra oświaty, czy nie uważałby za stosowne, ażeby z powodu influencji wcześniej rozpoczęły się w szkołach średnich ferje świąteczne. Minister prosił go, ażeby odroczył tę interpelację do soboty, ażeby był czas do należytego zbadania sprawy.

Ministrowie Tirard, Freycinet, Spuller, Rouvier i Faye cierpią na influencję.

Senat zawotował tajny fundusz dyspozycyjny 209 głosami przeciw 25.

Madryt 20 grudnia. Zaszło tu 20.000 wypadków influencji. Między innymi zachorowali Sagasta, Vegaarmijo i prezes izby. Wiele szkół zamknięto z powodu epidemji.

Budapeszt 20 grudnia. Antal, profesor medycyny w tut. uniwersytecie, umarł.

Waszyngton 20 grudnia. Senat zatwierdził nominację Phelsa posłem amerykańskim w Berlinie.

Paryż 20 grudnia. Według pewnych wiadomości Deroulede zachorował ciężko.

Poselstwo republiki Guatemala zaprzecza wiadomości, jakoby tam wybuchła rewolucja.

Paryż 20 grudnia. Posiedzenie izby. Po długiej rozprawie nad wyborem Vachera z departamentu Correge, przyjęto 272 głosami przeciw 244 wniosek Leherissa, ażeby wybrać osobną ankietę celem zbadania tego wyboru i celem wyświecenia rozmaitych zajść, jakie przy tym wyborze miały miejsce.

Bukareszt 20 grudnia. W senacie wystąpił prezydent senatu Floresco z mową przeciw gabinetowi i postawił wniosek, ażeby zmienić adres w ten sposób, żeby wypuścić ustęp jego, w którym powiedziano jest, że rząd ufa parlamentowi. Floresco sam stawia kwestję wotum zaufania dla rządu na porządku dziennym.

Minister Lahovary zwalczał tę dziwną teorję prezydenta Floresco, który chciałby zmusić parlament do tego, aby powiedział sam, że nie posiada zaufania rządu i oświadcza na wywody Floresca, że on (Lahovary) przed niedawnem przesileniem gabinetowem nigdy nie zgadzał się na rozwiązanie parlamentu.

Prezes gabinetu jenerał Mano wyjaśnia dla czego krizis nastąpiła. Konserwatyści opuścili Catargiu'ego z powodu tego, że połączył się z Vernesciem i ponieważ dążył do wytworzenia osobistego rządu.

Wniosek prezydenta Floresco zmiany adresu odrzucono, gdyż 46 senatorów oświadczyło się za nim a 46 przeciw niemu.

W rzeczywistości powinien był rząd mieć przynajmniej 49 głosów przeciw 43, gdyż trzech stronników rządu głosowało przez pomyłkę za wnioskiem Floresca, a wielu zwolenników nie było w sali.

Wynik ten głosowania spadł na Floresca i jego stronników niespodziewanie, to też prezydent Florescu i dwaj wiceprezydenci Gherassi i Boeresco, członkowie poprzedniego gabinetu, podali się do dymisji.

Senat rozstrzygnie jutro o ich dymisji, a dziś wieczorem odbędzie się zebranie senatorów sprzyjających rządowi.

Paryż 20 grudnia. Ajencja Havasa otrzymuje z Petersburga doniesienie, że floty rosyjskie na morzu Czarnem i Bałtyckiem będą powiększone każda o dwa wielkie pancerniki i kilka wielkich torpedowych okrętów.

Rząd rosyjski zamówił już w rosyjskich zakładach okrętowych budowę tych statków.

Przyjechali do Lwowa
20 grudnia 1889.

HOTEL GEORGA. St. Polanowski z Wiednia. St. Dobrzańska z Dobromila. E. Wasilewska z Siemuszowy. A. Leszczyński z Zabłocia. F. Jędrzejowicz z Żurowiec. B. b. Popper z Wygody. W. Pieńczykowski z Wiednia. K. Bieńkowski z Podola ros. Dr. J. Weiss z Berna. L. Krieser z Wygody. M. hr. Wolański z Pauszówki. W. Schmidt ze Skolego. J. Milch z Radowiec. Wł. dr. Lisowski z Krakowa. W. Witosławski z Wełdzirza. F. hr. Czosnowski z Wołynia.

HOTEL LANGA. B. Zatorski z Podola. M. M. Mieszkowski z Lublan. A. br. Erlanger z Wiednia. J. Sim z Wiednia. K. Nesbach z Lennepu. J. B. Wedermeyer z Altony. B. Kruch z Matyjówki. M. Ożarski z Laszek. Z. Keselring z Brzozowa.

HOTEL ANGIELSKI. T. Romanowicz z Krakowa. W. Rodakowski z Świstelnik. E. Hrymak z Ulhówka. A. Kokurewicz Kuryzna z Liska. T. Firlej z Bojar.

Z zbożowych targów.

20 grudnia	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	8 10—8 45	7 55—8 20	7·20—8 10	8·15—8 6[illegible]
Żyto	7 5[illegible]—7 60	7 1[illegible]—7 45	6.——6 10	7.50—7.9[illegible]
Jęczmień	·75—8 —	6 70—7 [illegible]	6 70—7 50	7.——8 —
Owies	7 50—8 20	7.—7.75	6 70—6.90	7.50—8 2[illegible]
Groch	7 —10 —	·70—9 —	6 70—9.50	7.—10.—
Wyka	5 50—6 -	4 80—5 25	0.——0.—	—.——.—
Rzepak	15 50—16 5[illegible]	15.—16 —	15.—16 —	15 65—16·75
Lnianka	— —	— —	— —	— —
Konic. czer.	45 —52	41—50	42—50	45—52
Konic. biała	—.——	— —	—.——.—	—.——
Konic. szwed.	—.——	— —	— —	—.——

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Rzepak poszukiwany.

Lwów. Z Izby handlowej 20 grudnia 1889

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	182 50	185 50
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	228 75	232 —
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	286 —	291 —
„ kredyt galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Banku hyp. galic 5 prc. w. a.	100 60	101 60
6% Listy zastaw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 lat.	— —	— —
Banku hyp. galic. 5 prc. 10% pr.	103 75	104 75
Banku krajowego 4½% wa.	97 75	98 75
Tow. kred. galic. 5 „ „	100 50	101 50
„ „ „ 4 „ „	96 —	97 —
„ „ „ 5 „ „ los w 37. l.	100 50	101 50
„ „ „ 4 „ „ „ „ 41½	93 75	94 75
„ „ „ 4 „ „ „ 52 l.	98 85	99 85
„ „ „ 4 „ „ „ 56 „	92 75	93 75
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (d 6%) 3% w likw	55 —	58 —
„ „ „ „ (d) 5 „ 2 „	6 —	49 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	103 75	104 75
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I. em.	100 50	101 50
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	104 —	106 —
„ „ „ 1883 4 „	96 50	97 50
Galic: fund. propinacyjnego 4% „	91 50	92 50
5. Losy;		
Losy miasta Krakowa	24 75	26 75
„ „ Stanisławowa	— —	38 —
6. Monety		
Dukat holenderski	5.51	5.61
Dukat cesarski	5.57	5.67
Napoleondor	9.31	9.41—
Półimperjał rosyjski	9.65	9.75
Rubel rosyjski srebrny	1.32	1.42
„ „ papierowy	1.24⅞—	1.26⅞
100 marek niemieckich	57.40	58.40

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 20 grudnia godz. 1. min. 40

Akcje kredyt.	316.15	Węg. kolej półn. wschodn.	187.75
Alpiny	98.30	Wiedeńskie losy kom.	144.25
Kredyty węg.	335.25	Akcje tyton.	114.25
Anglobanki	149.70	Gal.obl.indem.	104.50
Uniony	242.—	Elbethale	214.—
Ludwiki	184.—	Länderbanki	218.50
Nordbany	256.50	Renta zł. węg.	100.65
Lombardy	128.—	Bankvereiny	117.25
Losy tureckie	37.—	Renta węg. pap.	98.—
Staatsbahny	231.50	Ruble	126.—
Czerniowieckie	230. —		

Usposobienie spokojne.

Pociągi kolejowe.
Podług zegaru lwowskiego (Od 1 października 1889.)

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg pośp. lub kurjer	Pociąg osobowy	Pociąg osobowy	Pociąg mieszan.
Z Krakowa	4·08	8 50	9 28	7·15
Z Podwołoczysk	2 20		3·15	7·00
Z Podwołoczysk na Podzamcze	2·08	10—	2·38	6·22
Z Suczawy, Czerniowiec, Husiatyna i Stanisławowa . .	8.05	9·—		
Z Suczawy, Czerniow i Stanisł.		6·55		
Z Suchej, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa i Stryja . .		8·36		
Z Suchej, Chyr. Ław. i Stryja		8·3[illegible]		
Z Pesztu, Ławocznego, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa i Stryja		12·08		
Z Bełzca (Tomaszowa) . . .				5·21
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa	2·28	4·20	7·20	8·30
Do Podwołoczysk	4·11		9·5[illegible]	10·35
Do Podwołoczysk z Podzamcza	4 22	7—	10 28	11·05
Do Suczawy Czerniowiec, Stanisławowa i Husiatyna . .	9 16	10·13		
Do Stanisławowa, Czerniowiec i Suczawy		4·25		
Do Stryja Stanisławowa, Husiatyna, Chyrowa i Suchej		8·45		
Do Stryja, Chyr. Ław. i Suchej		10·20		
Do Stryja, Stanisławowa, Husiatyna, Ławocznego, Pesztu, Chyrowa, Stróża . .		5·50		
Do Bełzca (Tomaszowa) . .				7·43

Uwaga: Godziny drukowane kursywą, oznaczają porę nocną od godziny 6 wieczór do 5 m 59 rano.

16)

CZERWONA DAMA.

Powieść z francuskiego.

(Ciąg dalszy.)

Naczelnik nadstawił ucha i Sartilly, który już zmierzał ku galerji, zatrzymał się nagle, tknięty przeczuciem. Koła stukotały o nierówny bruk ulicy de Varennes. Powóz skręcił około rogu bulwaru, potem stukot ucichł, a głos basowy krzyknął:

— Bramę otwierać!

Ktoś nadzwyczaj szybko przybywał do pałacu, a tego nieznanego gościa wiozły konie *pursang* i dzielny woźnica, sądząc po zgrabności, z jaką zatoczył powóz, tuż przed samą bramą.

Złośliwy uśmiech zaigrał na zaciśniętych ustach pana de Noreff. Nie wymawiając ani słowa, poszedł wprost do szerokiego okna, wychodzącego na dziedziniec, i otworzył je na oścież, Sartilly i naczelnik śledzili go machinalnie. Obadwaj zrozumieli, że tu zajdzie coś niezwykłego.

Szwajcar, posłyszawszy głos znany, wyszedł ze swej stancji, ażeby otworzyć ciężką bramę, obracającą się na zawiasach. Skoro tylko ją roztwarto, elegancki powóz, ciągniony przez dwa śliczne bułanki, przejechał próg i zatrzymał się w sieni.

W głębi powozu, cała zagłębiona w szerokiej salopie futrzanej, siedziała, a raczej leżała kobieta na poduszkach jedwabnych niebieskich, oczekując w tej pozie lekkiej i swobodnej, aż jej schodki od powozu lokaj spuści. Podniosła z roztargniem głowę ku oranżerji, i w tejże chwili wydobył się z piersi Sartillego okrzyk zgrozy i zdziwienia. Poznał bladą twarz o jasno-złotych włosach.

Poza nim odezwał się głos szyderczy;

— Uprzedziłem panów, że pani de Noreff powróci o czwatej. — Pani de Noreff wchodziła powoli na wschody. Sartilly osłupiały śledził ruchy jej gorączkowo. Głos cudzoziemca, ciągle ironiczny i syczący, mówił z poza niego:

— Może panowie żądacie, ażeby pani de Noreff weszła tutaj, ażeby wam powiedziała sama, że nie jest zamordowaną?

— Jest niezbędnem, ażebym się rozmówił z panią — odrzekł naczelnik tonem już łagodniejszym — ale my możemy pójść do salonu i oszczędzić jej fatygi.

— Niepotrzeba; ona już tu idzie.

Zaledwo pan de Noreff wyrzekł tę krótką i suchą odpowiedź, gdy dał się słyszeć krok lekki w galerji. Wystraszony Sartilly popatrzał na swego towarzysza i wyczytał na jego twarzy wątpliwość i niepokój. Urzędnik zaczął sobie zadawać pytania, czy nie wpadł w głupią awanturę? czekał więc potwierdzenia tożsamości kobiety, która wejść miała, ażeby postanowić, co czynić dalej.

— Czyż to ona? — myślał Sartilly, drżąc cały.

Nieznajoma ukazała się przy wejściu do oranżerji. Odgarniając ręką w eleganckiej rękawiczce exotyczne kwiaty, których tysiące liści splatało się razem, wysunęła głowę ruchem wdzięcznym i nieśmiałym, ukazując twarz swoję tylko i piersi.

Wicehrabia zawahał się przez chwilę, ale promień słońca nagle oświecił ją całą. Twarz blada i regularna, oczy wielkie ciemno-niebieskie i włosy o połysku złotawym, ukazały się najwyraźniej. Była to rzeczywiście dama z Pól Elizejskich. Ta głowa, którą widział tego poranku trupio-bladą i krwawą, odżyła przed jego oczyma, a on badał sam siebie, jakim cudem, czy fortelem, wskrzeszono umarłą.

Scena ta, trwająca kilka sekund, odbyła się w milczeniu.

Pan de Noreff, tryumfujący, patrzał raz po raz, to na swoich gości, to na swoję zdziwioną żonę. Naczelnik przypatrywał się zakłopotanemu Sartillemu, który nadaremnie usiłował odzyskać trochę krwi zimnej.

Nieznajoma odezwała się. Głos jej miał oddźwięk melodyjny i modulacje szczególne. Głuche sylaby języka Północy wydawały jej usta, zwolna, z harmonijnem brzmieniem. Był to niby śpiew słodki. Pan de Noreff odpowiedział coś w tym samym języku. Mówił szybko, urywanie, jak człowiek, który wydaje rozkazy niezmienne.

Agent policji zmarszczył brwi i mruknął pod nosem:

— Tym razem, to już język nie niemiecki.

Sartilly, zatopiony w głębokiej zadumie, słuchał jednem uchem.

— Pani de Noreff ma zwyczaj mówić po rosyjsku ze mną — rzekł gospodarz domu z największym spokojem — ale ona rozumie po francusku. i jeżeli panu przydadzą się na co objaśnienia...

— Będzie to całkowicie zbytecznem — przerwał naczelnik, który w duchu pomyślał: — Teraz zwłaszcza, gdy ją już uprzedził. Trzeba mi było wziąć ze sobą Jottrata, który rozumie wszystkie języki.

— A zatem — mówił dalej Noreff, ciągle zimny i szyderczy — czy panowie wierzą teraz, żem nie zamordował mej żony?

Naczelnik, zanim odpowiedział, rzucił na swego towarzysza ostatni raz spojrzenie badawcze. Nieszczęsny Sartilly miał minę skazanego na śmierć. Czerwieniał i bladł, a wielkie krople potu oblały mu czoło. Cała jego postać mówiła: „Oszukałem się.“ Zrozumiał to naczelnik i chciał mu oszczędzić upokarzającego przyznania się.

Zręczny agent od chwili niespodziewanego powrotu pani de Noreff, zrozumiał natychmiast położenie. Przyzwyczajony od dawna do zawikłanych intryg i wypadków najdziwaczniejszych, umiał się decydować prędko, a zazwyczaj to, na co się zdecydował, było zawsze takie, iż go nie narażało w niczem. Więc i teraz plan ułożył natychmiast ze zwykłą roztropnością.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. Manieckiego. — Zarządca Walenty Hodak.